MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 3 WARSZAWA, 16 STYCZNIA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

ZAPOMNIANA ZASADA

PAROKROTNIE poruszaliśmy w tem miejscu sprawę uchwalonej teraz przez nasze ciała ustawodawcze reformy rolnej. Przypominamy artykuły prof. B. Wasiutyńskiego „Rozrost społeczny włościaństwa„ (Nr. 1. z r. 1925) i posła St. Dobrzańskiego „O dostęp cywilizacji do ziemi“ (Nr. 4). Stanowisko, z którego oceniamy znaczenie tej reformy, znajduje się poza szrankami walki klubów poselskich, poza drogami ich taktycznych posunięć, poza atmosferą stanowych nastrojów. Patrzymy na nią, jako na jeden z etapów w procesie rozwojowym naszego życia społecznego, pod kątem widzenia interesu narodowego, bynajmniej nie zamykając oczu na wady uchwalonej ustawy. Moglibyśmy przeto zachować nadal neutralność wobec sporów o tę ustawę, które do prasy się przeniosły, gdyby w nich nie potrącano kwestji zasad.

Pan senator Jan Stecki, kruszący teraz kopję, jako przedstawiciel ziemiaństwa, w obronie Klubu Chrześcijańsko-Narodowego (obóz p. Dubanowicza) i usiłujący w osobie posła Staniszkisa pognębić Związek Ludowo-Narodowy, który reformę popierał, godzi w to drażliwe miejsce zasad. Rozognienie musi być znaczne, skoro p. Stecki uciekł się do pogróżki, w świecie politycznym najstraszliwszej,—sądu wyborców. „Musi nadejść chwila pisze p. Stecki, kiedy w tej sprawie stronnictwa polityczne, stając przed wyborcami, będą zniewolone sięgać do zasad“... Mianowicie „będą zniewolone zdać sprawę nie tylko ze swoich zysków taktycznych, lecz ze stosunku swego do zagadnienia produkcji oraz własności, a wtedy okaże się, że Związek nie miał wcale żadnej“ (zasady).

Otóż, czy to prawda? Czy wchodziły tu w grę tylko zagadnienia (zasady) produkcji i własności i czy Związek nie kierował się żadną zasadą? Wydaje mi się to twierdzenie p. St. niesprawiedliwością wobec Związku, „z którym łączy go obok wielu wspomnień osobistych także i szereg lat pracy, wysiłków i przeżyć“. Niesprawiedliwością, popełnioną w podnieceniu. O tem podnieceniu świadczy insynuacja, że Związek działał nie samodzielnie, lecz pod batutą p. Witosa, tudzież kwestjonowanie dobrej wiary Związku, że liczył się z potrzebą uspokojenia stronnictw ludowych. Za dowód zaś wysokiego podniecenia trzeba uznać wołanie o pomstę do ziemian, a wreszcie przeklinanie Związku w formie przepowiadania mu rychłego zgonu. Brak chyba tylko życzeń popularnych, w symbolice piorunów, kary boskiej, męki piekielnej...

To nie dobrze. Tem słabsza jest pozycja senatora Steckiego, że okopał się w szańcu świeżym, nie zbyt zrośniętym z interesami ziemiańskiemi; jego młodzi przyjaciele, którym patronuje, jeszcze w roku 1919 mieli za złe Związkowi L. N., że zbytnio się liczy z interesami ziemiaństwa. O zasadach w tych warunkach trzeba mówić oględnie. A zresztą, ponieważ o zasady chodzi, muszę przypomnieć p. Steckiemu, że Związek nie jest stronnictwem agrarnem, nie znającem innych zasad krom produkcji i własności. Przypomnę p. Steckiemu, że Związek, z którym, jako sam wyznaje, łączy go szereg lat pracy, odziedziczył po założycielach, po nim samym zresztą, jako publicyście ruchu demokratyczno-narodowego, jeszcze inne zasady, ogólniejsze i tym wiernie służy.

Pan senator Stecki, który zarzuca Związkowi brak zasad i oportunizm, niegdyś, gdy ani on, ani p. Dubanowicz nie byli jeszcze ziemianami, rozumiał, że są naczelne zasady narodowe, którym inne należy podporządkowywać. W r. 1897, pisząc w „Głosie“ o środkach naprawy gminy wiejskiej, uważał, że zaradzić zanikowi życia w gminie może „dopiero hasło podporządkowania interesom ludu interesów wszystkich naszych warstw społecznych“... „Dziś — mówił on — czas byłby rozwinąć je (to hasło) w praktyce, bo ani wątpić, że stało się już dogmatem szczerej i gorącej wiary poważnego odłamu młodej inteligencji. Z drugiej strony zmienili się i włościanie“... (Nr. 25).

Dla czego wierzyliśmy w to „podporządkowanie“ wespół z Popławskim? Uzasadnił to w „Głosie“ (№ 22) sam p. Stecki: „Wyobrazicielem żywej energji społecznej staje się lud, on to, nie zaś klasy inteligentne, jest dźwignią życia narodowego, jego domowe ogniska są kuźnicą losów narodowych. Warstwy pańskie spełniają rolę regulatora i przetwórcy dopływającej z łona ludu energji, regulatora niezawsze sprawiedliwego, przetwórcy nie zawsze sumiennego. Bywa nawet niekiedy, że te warstwy tracą władzę funkcjonalną, omdlewając w walce z żywiołami zewnętrznemi lub obumierając w sobie: wtedy na widownię występuje surowa energja ludu“...

Roczniki „Głosu“ z r. 1897 — 1899 przepełnione są artykułami obecnych senatorów Steckiego i Koskowskiego, uzasadniającemi konieczność zajęcia się położeniem ludu, jako podstawy życia narodowego. Czy mam wymieniać piękne artykuły p. Steckiego, traktujące o konieczności przysparzania ludowi ziemi w drodze parcelacji? Kiedy niejaki p. Moszyński w broszurze o kredycie włościańskim proponował ziemianom, aby udzielali włościanom pożyczek, to — przypominam — p. Stecki był zdania, że takie pożyczki „pociągnęłyby za sobą niewolę babilońską chłopa, uzależniłyby go od obywatela (ziemianina), skrępowały i przykuły do taczki robót folwarcznych“. Gdy p. Mosz. odradzał parcelacji, że „niszczy ona kapitał pracy pokoleń, nagromadzony przez wieki“, to p. Stecki mu powiedział, że „tyleż jednak wieków pracowały i pokolenia chłopskie, znojne zaś ich wysiłki zapewniły im stanowisko poważnej siły społecznej, podczas gdy“... Tutaj powołał się na zdanie samego p. Moszyńskiego: ...„podczas, gdy stanowisko szlachty podobne jest do rezydentów lub ludzi, żyjących z dobroczynności społecznej“. (nr. 15 z r. 1897).

Przytaczam ówczesne poglądy p. Steckiego nie dlatego bynajmniej, aby w łatwy sposób chwytać go w pułapkę sprzeczności. Poglądy bowiem może ktoś zmieniać z całem przekonaniem. Nie to jest złe, że teraz myśli inaczej, lecz, że innym tej przeszłości nie pamięta i poczytuje za oportunizm, iż wyznają konsekwentnie zasady, uznane niegdyś przez niego samego za podstawowe, i do tego w zakresie bardziej umiarkowanym, niż je sam wyznawał. Muszę uważać za krzywdę, wyrządzaną świadomie uczniom własnej szkoły, gdy p. Stecki zarzuca teraz Związkowi „absolutny brak własnych zasad wytycznych w sprawie rolnej“, a następnie, że ta sprawa jest dla Związku tylko „bronią agitacyjną, bałamucącą nieuczone masy włościańskie“. Niema dziś stronnictwa w Polsce, któreby takich studjów dokonało nad stosunkami agrarnemi w Polsce—dowodem choćby roczniki „Głosu“ (1887—1899). Coś nie coś wytycznych w głowie pozostało. Skoro Związkowi szło wyłącznie o „agitację“ — jak sądzi p. Stecki—to skądże ta obawa o wybory? P. Stecki straszy, że wyborcy pójdą za reprezentantami ludu, nie za Związkiem. Być może, ale Związek to zniesie, bo pamięta zasadę: „lud jest dźwignią życia narodowego“. Związek jest ludowy, dlatego że jest narodowy.

Stanowisko p. Steckiego nie staje się narodowem przez to, że jest stanowem; nie jest też chrześcijańskiem, skoro pozwala na niesprawiedliwości i pomstowanie. Stanowisko to ubodło mnie tutaj w „Myśli Narodowej“, bo od trzydziestu lat, od czasu, gdyśmy razem z p. Steckim pracowali nad zagadnieniami demokratyczno-narodowemi, nie zaszło nic takiego, coby mogło pogląd nasz ówczesny na znaczenie ludu zmienić. Owszem, ówczesne hasło, pozbawione już dzisiaj cienia chłopomaństwa, rozwinęło się w pogląd socjologiczny, w myśl teorji samego Steckiego (w artykule „Życie i lud“, 1897) na naturę cywilizacji narodowej, czerpiącej tworzywo psychiczne z kapitału ludowego.

Polityk obozowy i mąż stanu nie może być twórcą narodowym historycznym, jeżeli pod spodem swego programu praktycznego nie ma jakiegoś wykresu filozoficznego, któryby go orjentował, co ma robić z cywilizacją swojego narodu. Ze stanowiska osobistego lub jakiejś grupki parlamentarnej, rozglądającej się za oparciem wyborczem, zrozumiałe są ambicje doraźnych zwycięstw w bylejakim kierunku, aby tylko wywiązać się z zobowiązań w byleczyim interesie. Zrozumiała jest też mściwa złość, gdy kampanja się nie uda. Ale zapamiętałość nie powinna iść zbyt daleko, jeśli pod programem klubowym istnieje wspomniany wyżej wykres, albo inaczej: jeśli pod polityką istnieje sumienie narodowe, do którego zawsze czas uciec się po poradę i opamiętanie.

Dzieła rąk ludzkich, zwłaszcza składankowe w parlamencie dzisiejszym, nie są doskonałe. A powtóre—nie sam Związek L.-N. ustawę rolną układał. Skądże więc, nawet ze swego stanowiska, p. Stecki całą odpowiedzialność za szczegóły wali na Związek? Jeśli zaś chodzi o aspiracje społeczne aktu, to nikt z posłów i senatorów nie ma tak mało prawa go potępiać, jak p. Stecki.

Z. WASILEWSKI

O SZKOLNICTWO ZAWODOWE

Z POWODU projektów organizacji szkolnictwa, opracowywanych w ministerstwie, rozwinęła się w prasie dyskusja, jak na nasze stosunki, wcale żywa i obfita. Nie wiem, czy uważać to za postęp w naszem życiu zbiorowem, a więc i korzystny rozwój zainteresowań się zagadnieniami życia ze strony społeczeństwa, czy też za wyjątek, za dowód, że o pedagogji wszyscy umieją coś powiedzieć, a więc mówią.

Niemniej dyskusja była zachęcająca i pokrzepiająca, bo przecież poraz pierwszy prawie społeczeństwo zabierało głos w sprawie żywotnej. Daj Boże, żeby także i w innych sprawach, niemniej żywotnych, jak oszczędności, rozwój produkcji i t. p. mogła rozwinąć się dyskusja, równie żywa i rzeczowa.

W tej dyskusji jednak, mnie osobiście, brakowało jednego tonu, tonu realistycznego życia. Dwa w niej zauważyłem zamiłowania i oba teoretyczne. Jedno—to zielonosukienne bawienie się w cyferki i szalkowanie szkół: czteroletnie, dwuletnie, pięcioletnie, trzyletnie, siedmioletnie i t. d. Widać, że w szkolnictwie tak samo, jak we

wszystkich innych dziedzinach, lubimy doktrynki, roimy najdoskonalsze (Polska musi świat zadziwiać i wyprzedzać!), z najmodniejszych teoretyków wyjęte (cieszmy się, że nie jesteśmy obciążeni tradycją!) formułki, aby je państwu i ludności narzucać. Ani w dyskusji prasowej, ani w komisji oświatowej, nie widziałem treści, która ma być w te abstrakcyjnie snute siatki i rameczki zawarta. A tą treścią byłaby suma wiadomości, teoretycznych i praktycznych, którą chcielibyśmy wsączyć w głowy uczniów na rozmaitych stopniach nauki. Gdybyśmy ustalili, jaką sumę wykształcenia powinien młodzieniec posiąść w dziewiątym, czternastym, osiemnastym roku życia, byłoby łatwiej i realniej dostosowywać potem do tych zadań długość trwania nauki i rozczłonkowywanie szkół.

U nas postąpiono odwrotnie. W komisji sejmowej, w prasie zaczęto konstruować siatki: cztero, siedmio, trzy, pięcio, dwuletnie z tem zastrzeżeniem, że treść, program nauki zostanie potem wtłoczona w te podziałki. Ujmowanie kwestji całkiem teoretyczne, abstrakcyjne.

Drugie zamiłowanie nazwałbym politycznem. Wychodzi ze słusznego spostrzeżenia, że u nas zanadto wybujał pęd do szkoły ogólno - kształcącej i zabija w społeczeństwie dążności praktyczne, zamiast je rozwijać. Stąd wniosek, iż trzeba koniecznie zakładać szkoły zawodowe, ażeby przy ich pomocy kształcić fachowych rolników, leśników, rzemieślników, i t. d. i t. d. Mówiąc paradoksalnie, żąda się, ażeby stosownie zorganizowane szkolnictwo wytworzyło silny i zdrowy stan średni, tak na wsi, jak i w mieście.

Na jedno wszakże należy tu zwrócić uwagę. Ani ustawa czy rozporządzenie, ani szkoła nie może wytwarzać z niczego różnych zawodów, bo to należy do życia, a nie do ustawodawstwa, ani do pedagogji. Ustawy mają regulować życie, szkoła ma się przyczyniać do jego doskonalenia, ale ani jedno, ani drugie nie może życia stwarzać. Dlatego żądanie, stawiane szkole, ażeby stworzyła stan kupiecki, rzemieślniczy, fachowe rolnictwo i t. d., nazywam politycznem, bo wychodzi z rozważań politycznych, a nie pedagogicznych. Szkolnictwo zawodowe ma zaspakajać pewne potrzeby życia gospodarczego. Ale ażeby mogło spełnić swe zadanie, musi te potrzeby zastać. Ono samo tych potrzeb nie stworzy.

Otóż ze smutkiem trzeba stwierdzić, że tych potrzeb u nas niema. Politycy, ogarniający całość życia społecznego i państwowego, widzą i stwierdzają, że nam fachowców brakuje we wszystkich dziedzinach. Ale brak nie jest zapotrzebowaniem, popytem. Nie szkoła sama może brak ten uzupełnić, lecz reorganizacja życia gospodarczego. Jeżeli to życie tak zreorganizujemy, że braki zostaną uzupełnione, wtedy dopiero nastąpi zapotrzebowanie fachowców i wtedy nadejdzie czas na tworzenie szkolnictwa zawodowego. Dziś szerokie rozwijanie szkolnictwa zawodowego sztucznie, przez państwo, byłoby marnowaniem pieniędzy. Stawiam tezę, wziętą z życia: szkoły zawodowe spełniają tylko wtedy swoje zadanie, jeżeli na ich wychowanków jest popyt. Jeżeli tego popytu, tego zapotrzebowania niema w kraju, tworzenie szkół zawodowych staje się zbędne. Przytoczę dwa przykłady: Dawny Wydział Krajowy we Lwowie założył i utrzymywał kilkadziesiąt szkół zawodowych, średnich i niższych, między niemi najwięcej rolniczych. Ponieważ nikt prawie nie potrzebował tych zawodowców, groziło tym szkołom zamknięcie z powodu braku wychowanków. Zaczem Wydział Krajowy wyznaczył fundusze na utrzymanie uczniów w tych szkołach i w ten sposób przyciągnął masę biedaków, których nie było stać na uczęszczanie do szkół ogólno-kształcących. Nie mogąc zdobyć wykształcenia gimnazjalnego, chłopcy, chcący jednak czegoś się uczyć, zapełniali te szkoły na koszt Wydziału Krajowego. Ale, że po ukończeniu tych szkół nie znajdowali fachowego zajęcia, cisnęli się tłumnie do straży granicznej... Naprawdę byłoby było lepiej utrzymywać wprost szkoły, przyspasabiające do służby w kontroli skarbowej, niż bawić się w uczenie rolnictwa tych, którzy ze swoją wiedzą rolniczą nie znajdowali zatrudnienia i ubiegali się o miejsca „financów“. W ten sposób zawodowe szkolnictwo Wydziału Krajowego nie stworzyło żadnego zawodu, bo życie gospodarcze kraju nie dawało mu warunków.

A teraz przykład drugi: Przed niespełna rokiem przyszło do Warszawy kilka tysięcy samochodów-dorożek i nagle powstało zapotrzebowanie szoferów, zawodowców. Nie czekano na pedagogiczne plany komisji oświatowej, Sejmu, ministerstwa, tylko samorzutnie powstało kilka szkół prywatnych, które w krótkim czasie zaspokoiły zapotrzebowanie Warszawy i wypuściły na świat nawet nadmiar kwalifikowanych szoferów. Tu nie trzeba było nauki za darmo, stypendjów, internatów, zachęty rządowej: ponieważ było zapotrzebowanie na szoferów, szkoły zawodowe szoferskie zapełniły się same.

Stąd prosty, realny wniosek: stwórzmy takie warunki, ażeby zawodowcy ze wszystkich dziedzin mieli widoki zajęcia i przyzwoitego utrzymania, a szkolnictwo zawodowe rozwinie się i gotowo zagłuszyć wszystkie szkoły ogólno-kształcące.

Zastanówmy się więc, czy u nas są takie warunki, któreby zawodowcom dawały nadzieję wystarczającego kawałka chleba za nabyty fach. Zacznijmy od rolnictwa, tak dlatego, że olbrzymia większość naszych obywateli żyje z roli, jak dlatego, że pęd do zakładania szkół rolniczych przybrał realne kształty w wydzielaniu gruntów po powiatach na cele tych szkół, a nawet w zorganizowaniu ich gdzieniegdzie.

Fachowego przysposobienia w rolnictwie potrzebuje albo zamożny gospodarz wiejski, albo oficjalista dworski. To teoretycznie. Uczniami szkół rolniczych mogliby więc być albo synowie bogatych chłopów, którzyby po tem wykorzystali nabytą wiedzę na własnej posiadłości, albo ubogie dzieci włościańskie, któreby później mogły się umieścić we dworze, jako ekonomowie czy rządcy. Mówię o szkolnictwie niższem i średniem rolniczem.

Dziś zamożny gospodarz, powiedzmy od 20 do 80 morgów ziemi posiadający, nie może pozbyć się dorastającego syna na rok czy na dłużej z domu. Musiałby na jego miejsce przyjąć parobka, płacić mu pensję, płacić ubezpieczenie w Kasie Chorych, a jeżeli ma jakąkolwiek maszynkę, choćby kierat, płacić ubezpieczenie od wypadków. W dzisiejszym stanie rolnictwa jest to poprostu nie do pomyślenia. Średnie gospodarstwo włościańskie, mimo deklamacyj o produkcji rolnej, o rozwoju rolnictwa, ba! o popieraniu rolnictwa i t. p., jest przez nasze ustawodawstwo podatkowe skazane na zagładę. Wszak średni gospodarz płaci już progresywny podatek gruntowy, progresywny podatek majątkowy, progresywny podatek dochodowy i t. d. — a gdy do tego dodamy przynajmniej drugi raz takie obciążenie na rzecz samorządu, następnie przymusową asekurację od ognia, ubezpieczenie służby w Kasach chorych, od wypadków — i gdy na to wszystko przyjdzie jeszcze dzisiejsza niepomyślna konjuktura handlowa dla rolnictwa, konjuktura obciążona ponadto przez nieprzemyślane zarządzenia wywozowe rządu — to trzeba powiedzieć, iż tak zwanego zamożnego gospodarza (a jest ich na wsi znikoma mniejszość) nie stać na to, żeby syna oddawał na rok czy więcej z domu do szkoły rolniczej.

Albo ten syn jest jedynakiem, albo nie. Jeżeli w domu dzieci jest więcej, to owo średnie gospodarstwo już siłą rzeczy jest przeznaczone na zniknięcie wskutek podziałów, jeżeli nim nie jest, to wobec złośliwego obciążenia daninami i świadczeniami, ojciec, nękany ustawowo,

jako członek „klasy posiadającej“, musiałby być romantykiem lub warjatem, żeby się pozbywać na dłuższy czas z domu parobka daremnego i nieopodatkowanego, a na jego miejsce brać rozagitowanego nieużytka, płacić mu drogo i płacić za niego na wygody i zbytki urzędników z Kasy chorych.

Zanim więc zabierzemy się do tworzenia szkół rolniczych dla synów gospodarskich, musimy naprzód rozwiązać zagadnienie: czy państwo nasze chce stworzyć i utrzymać średnie gospodarstwa włościańskie, a gdyby odpowiedź wypadła twierdząco, zmienić nasze ustawodawstwo podatkowe i społeczne w tym kierunku, żeby sprzyjało ustaleniu się tego typu średniej własności rolnej. Gdyby jeszcze do tego stworzyć korzystne konjuktury dla produktów rolniczych, wtedy dopiero byłyby warunki pomyślne dla rozwoju niższego, czy nawet średniego szkolnictwa rolniczego.

A teraz pytanie drugie: czy ubogi chłopiec wiejski, nie posiadający własnego gospodarstwa, na którem mógłby spożytkować fachową znajomość rolnictwa, może mieć nadzieję, że się umieści na folwarku?

Myślę o folwarku małym, od 200 do 600 morgów ziemi. Właściciele takich obszarów dzisiaj dyszą zaledwie. Narobili długów wekslowych na 36% do 60% i dojrzewają kolejno do licytacji. Reforma rolna, przeciążenie podatkami i świadczeniami społecznemi, brak zbytu na produkty sprawia, że ludzie ci nie mogą wiązać się kontraktowo z fachowym ekonomem czy leśnikiem na jakiś rozsądnie długi okres czasu, albowiem „nie znają dnia ani godziny“. Na tymczasem wystarcza im fornal, czy woźnica, awansowany do funkcyj ekonomskich i chłopiec kredensowy, kreowany na tymczasowego leśniczego, zanim Żydzi zdążą resztkę lasu uprzątnąć. Ażeby ci ludzie mogli dać korzystną służbę fachowym rolnikom czy leśnikom, muszą zdobyć pewność zbytu, pewność prawnego władania, i mieć interes w powiększeniu produkcji. Dziś wegetują z dnia na dzień.

Ich synowie nie będą chodzić do niższej lub średniej szkoły rolniczej. Mają bowiem pretensję do wyższego wykształcenia. Gdyby u nas zechciano wrócić do niemieckiego typu akademij rolniczych dwuletnich, do których dawała wstęp szósta klasa gimnazjalna, to synowie takich jedno lub dwufolwarcznych ziemian dostarczyliby uczniowskiego kontyngentu i mogliby potem z korzyścią i dla siebie i dla kraju wracać na ojcowską ziemię.

Ale my chcemy robić wszystko inaczej. Unikamy szablonu, rutyny, tradycji—zwłaszcza tradycji zaborców—a zapominamy, że ta tradycja wyrosła na wielotetniem doświadczeniu, na znajomości życia i stosowaniu się do życia.

O latifundjach, których mniej jest u nas, niż się w to wierzy powszechnie, powiem krótko: albo znikną wskutek reformy rolnej, albo się uratują, także wskutek reformy rolnej, która je już raz ocaliła. Gdyby zostały, zatrudniać będą uczniów akademji ziemiańskiej, czy fakultetu agronomicznego i dla fachowych rolników z niższej lub średniej szkoły albo wcale miejsca mieć nie będą, albo tak mało, że jedna szkoła na całe państwo wystarczy.

Dla kogo więc chcemy zakładać fachowe szkoły rolnicze? W dzisiejszych warunkach nie dla rolników, ale dla wykazów statystycznych, dla ministerstwa i dla profesorów, którym chcemy dać posady. Zdziwaczone nasze życie nie potrzebuje tych szkół—jeżeli chcemy te szkoły zakładać, to zmieńmy tak warunki gospodarcze, żeby był naprzód popyt na wychowańców tych szkół. A gdy takie zapotrzebowanie będzie, to bez stypendjów, internatów i innych przynęt czy wędek, szkoły takie zapełnią się uczniami.

To samo da się powiedzieć prawie o wszystkich innych szkołach zawodowych. Gdyby nasze mieściny znalazły się w tem położeniu, żeby mogły zaprowadzać kanalizację i elektryczność, możnaby się spodziewać, że otworzy się zapotrzebowanie na mechaników, monterów i t. p. Mamy brak mieszkań, ale warunki tak się złożyły, iż nie ma nadziei na ruch budowlany, skoro przy naszych ustawach i umowach zbiorowych buduje się tak drogo, że oprocentowanie kalkuluje się dopiero w czynszu 100 lub 150 złotych za cztery ściany, zamiast po 10 do 25 złotych. Dla majstrów i kierowników budowli wodnych mogłyby u nas otworzyć się niebywałe widoki, gdyby były fundusze na regulację rzek i na zabudowanie górskich potoków. Ale zanim się znajdą te fundusze, szkoda marzyć o zawodowych szkołach w tej dziedzinie.

I tak możnaby mnożyć w nieskończoność podobne przykłady, bo u nas wszystkie dziedziny techniczno-kulturalnego życia leżą odłogiem. Naprzód trzeba środków na ich ożywienie, a potem będzie czas na dostarczanie fachowców, gdy życie znajdzie dla nich chleb gotowy i dostatni.

Niektóre szkoły zawodowe wchodzą w zakres działalności cechów i zrzeszeń rzemieślniczych. Introligatorstwo, szklarstwo, blacharstwo, szewstwo, stolarka, garncarstwo i t. d. są to zawody, do których na swój sposób przyspasabia organizacja cechowa. To też bardzo pożytecznie byłoby skombinować nowożytne szkolne wymagania z tem, co nam przeszłość przekazała i zamiast burzyć czy przekreślać rzemiosło, podnieść, udoskonalić i rozwinąć je w sposób nowożytny. Zamiast szkoły zawodowej, z internatem, halą, wielkiem gronem nauczycielskiem i okazałym gmachem, należałoby połączyć terminowanie u majstra z jedno lub dwugodzinnemi wykładami dziennie i w taki sposób osiągnąć pierwszorzędne wyniki. Ale u nas wiele robi się dla blichtru i dla zblagowanych referatów.

Do tego jeszcze jedno spostrzeżenie.

Szkoły zawodowe mają według głoszonego hasła nietylko odciągnąć nadmiar młodzieży od szkół ogólnokształcących, ale i przez wytworzenie zawodów, których nam brak, rozwinąć nowy stan, którego nam również brak, mianowicie stan średniej inteligencji. Warto posłuchać deklamacyj na temat tężyzny, zwartości, spoistości tego społeczeństwa, które posiada średnią, nieuniwersytecką a nawet niematuralną inteligencję: każdy z rękawa wytrzęsie zachwyty nad tem, co widział z tej dziedziny w Niemczech, Włoszech, Francji, Anglji.

Ale do średniej inteligencji odnoszą się dosłownie uwagi, wypowiedziane wyżej o średniej własności chłopskiej. Niby to, teoretycznie, dążymy do jej utworzenią i utrzymania, a w rzeczy samej, praktycznie, niszczymy ją bez pardonu.

W sprawie inteligencji postępujemy tak samo — chcielibyśmy ją wytworzyć i odbieramy jej wszystkie prawa, a nawet możność życia. Przecież u nas człowiek zaczyna się dopiero od maturzysty — chyba, że ma pieniądze, które zastępują i wychowanie i dyplom. Przecież wbrew temu, co istnieje we Francji, w Niemczech i na całym cywilizowanym Zachodzie, my, kraj analfabetów, wprowadziliśmy postanowienie, że oficerem może zostać tylko człowiek z maturą. A tam wszędzie wystarczy 6 klas szkoły średniej, albo nawet egzamin uzupełniający sześć klas. Bo człowiek bez matury nie jest u nas pełnowartościowym człowiekiem.

Mamy na to dowody bardzo świeżej daty. Po Prusach i Rosji zostały nam w spadku zawody felczerów, techników dentystycznych, mierników. Miały one swoje określone uprawnienia i obowiązki, a wywiązywały się ze swoich zadań ku powszechnemu zadowoleniu. Odkąd Polska powstała, reguluje się ich stanowisko coraz nowemi ustawami, które ograniczają ich uprawnienia, odbierają najmniejszą samodzielność, dyskwalifikują ich i wprost

znęcają się nad nimi. Pokrywa się to wszystko dobrem społeczeństwa i fachowością, a w istocie chodzi o szykanowanie tych zawodów, o nadmierne obciążanie społeczeństwa i o pasorzytowanie uprzywilejowanych na pracy tych ludzi. Lekarze mają podpisywać za felczerów i techników dentystycznych, a geometrzy za mierników. Chyba nikt się nie łudzi, jakoby lekarze i geometrzy istotnie przeprowadzali jeszcze raz prace, wykonane przez tych zawodowców—ale za podpis biorą wynagrodzenie. I biedny pacjent czy klijent musi płacić zwiększoną należność, bo i zapłatę pracownikowi i haracz temu, który na niewidziane podpisuje. I tak uprzywilejowani ściągają daninę z ubezwłasnowolnionych fachowców, którzy w ten sposób zostają pozbawieni wszelkiej samodzielności. To się nie przyczynia do podniesienia nietylko ich stanowiska, ale i subjektywnego poczucia. I w ten sposób chyba tylko ostatni głodomór może się zgodzić na znoszenie takiego jarzma—inni muszą uciekać z zawodu, a to nie jest wytworzeniem zdrowego, silnego, zadowolonego stanu średniej inteligencji.

I dlatego zanim przystąpimy do celowego mnożenia szkół zawodowych, musimy rozstrzygnąć pytanie, czy chcemy utrzymać średnią inteligencję i wytworzyć „zawodowców". Jeżeli tak, to stwarzajmy nietylko materjalne, ale ustawowe i moralne warunki do tego celu.

JAN ZAMORSKI

TRZY MURY GRANICZNE W „ZEMŚCIE" FREDRY

(Fragment większej całości p. n. „Polska w komedjach Fredry")

III

BĘDĄC uczniem Uniwersytetu Jagiellońskiego zwykł byłem popołudniami wczesnej jesieni włóczyć się po wsiach podkrakowskich. Tak razu pewnego zabrnąłem na pola wsi, która się bodaj Zielonki nazywa. Tu w oczach moich tęga, znać, że na dobrobycie utuczona baba-gospodyni wypędza ze swej koniczyny czyjąś krowę. Wypędza! Trzeba było widzieć furję, z jaką biła, katowała zwierzę; trzeba było widzieć, jak kilometr bez mała biegła za krową, a waliła ją bez litosierdzia, jakby chcąc za wszelką cenę porozbijać jej gnaty. Zziajana, usiadła wreszcie na drodze; tu do niej doszedłem, wdałem się z nią w dyskurs, i wywiedziałem się, co następuje:

— Żeby mi „w szkodę" wlazła krowa czyjaś inna, krowa „gospodarska", krowa kogoś równego mi, to bym się tak nie zeźliła, ale ta krowa, to krowa komornicy, co ani stajonka ziemi nie ma. Żeby krowa takiej dziadówki śmiała leźć w gospodarską koniczynę! Takiej dziadówki!!

Trzeba było słyszeć, ile magnackiej pogardy syczało w tem słowie: — „dziadówka". Jakby o innym,— oczywście niższym—gatunku ludzkim była mowa.

Wyobraźmy sobie zagrodę naszej baby-gospodyni, postawioną tuż obok chałupy owej komornicy-dziadówki, przedzielmy je g r a n i c z n y m płotem, a będziemy mieli, w socjalnem zmniejszeniu, sytuację i konflikt Cześnika i Rejenta. — „Żeby taki hołysz śmiał siedzieć tuż obok mnie!"—buntuje się całe jestestwo Cześnika.

W bycie chłopskim arystokratyzm zagrody zasadza się na prymitywnej *basis* materjalnej... W bycie staroszlacheckim, jak o tem była mowa, pierwiastkiem różniczkującym była owa „krew", czyli starodawność znaczenia. I zasada tej „krwi" taką miała niewzruszalność dogmatyczną, że poddawała się jej i druga strona. Dla Rejenta w „Zemście" Cześnik mimo wszystko jest w y ż s z y m t y p e m l u d z k i m. Przed samym sobą może nawet udawać, że tego nie odczuwa, ale... odczuwa. I część tej nienawiści, jakiej w komedji jesteśmy świadkami, część tej nienawiści do Cześnika nie z innych płynie źródeł, jak tylko z poczucia swojej niższości stanowej.

Skąd się brała ta siła moralna w dogmacie k r w i?

Zejdźmy w historji do czasów zamierzchłego średniowiecza, kiedy wszystko, co na ziemi, było królewskie. Za co można było od króla otrzymać we władanie ziemię i tem się ponad rzeszę zwykłych rycerzy wybić? Tylko męstwem w bojach z zewnętrznym nieprzyjacielem. Kto „miał serce", czyli kto bez pamięci życie swoje na szwank narażał, kto był bohaterem, ten w nagrodę uzyskiwał włości. Majątek więc był bezpośrednią plastyką heroizmu, tej najwyższej wówczas cnoty. W majątku jego czcili wyższość jego rycerską. Za majątkiem szły łaski i zaszczyty. One też były wykładnikiem zasług rycerskich, lepszej gliny ludzkiej, lepszej— „krwi". Zmieniły się potem czasy, przesunęły podstawy zdobywania bogactw, a pamięć na tę zamierzchłą jednoznaczność: bogactwa i lepszej gliny ludzkiej—pozostała w umysłowości szlacheckiej. Cześnik jeszcze w XVIII wieku odcina kupony od kapitału bohaterstw, jakiego w hojności swą krwią, ponadludzkiem sercem rycerskiem— dorobił się jego praszczur za Chrobrego, czy Krzywoustego.

*

Jedno jeszcze dzieliło Cześnika od Milczka. Linja demarkacyjna, jaka się rozciąga między przyszłością takich ludzi, jak Cześnik, a takimi, jak Rejent.

Cześnik jest chemicznie czystą tkanką feodalizmu. Wszystko jedno, jakie by przeżycia przebył, jakie zmiany ustrojowe by się w oczach jego odbyły—on pozostanie przeszłością. Może zginąć, ale nie zmieni się. Stracił majątek, resztki mu tylko pozostały. Dlaczego świat i ludzie nie przychodzą mu z pomocą? Dlaczego monarcha nie śpieszy ze starostwami? Bo przecież zarabiać ani potrafi, ani mu zarabiać przystoi. Toż by przodkowie w grobach się przewrócili. Raptusiewicz może pracować *pro bono publico*, może—„zajmować stanowisko", może krew swą wreszcie w „potrzebie dla kraju przelewać" ale coś nie dającego się pogodzić z istotą Cześnika jest: zarobić na swą egzystencję. Co innego bogaty ożenek, posag—to jedna z należnych funkcyj, jaką los powinien odbyć dla r o d u, który Cześnik reprezentuje. I oto widzimy go w komedji, jak rozpatruje się w tabelach Podstoliny, jak je zestawia z intratami synowicy Klary. Bo to już tylko od niego zależy—wydaje mu się—która z nich, Klara, czy Podstolina, ma przyjść z pomocą jego rodowi; nie sposób sobie, mocium panie, wyobrazić, by która z nich zechciała mu dać rekuzę, przecież ktoś powinien go na nogi postawić! Ktoś: czy Pan Bóg, czy przyjaciel, czy przyszła żona, byle nie on sam. Pięć wieków, czy więcej, przyzwyczajenia do tego, że pańszczyzna dawała szlachcicowi istnienie, tak już weszło w jego krew, że nawet na Opatrzność patrzy, jak na pewną kategorję pańszczyzny. Jeśli i Podstolina i Klara i Opatrzność zawiodą—Cześnik przepadnie. Przepadnie, bo przepadł ustrój feodalny, którego on jest idealnym, nie dającym się zmienić produktem. W ramach „Zemsty" ustrój ten przepadł dla tego, że kraj, w którym się akcja komedji odbywa, t. zw. Galicja, odpadła już 1772 r. od Polski—a rzecz się dzieje

po 1772 r., po konfederacji Barskiej nawet—i oto naraz świat pojęć Cześników Raptusiewiczów znalazł się w próżni. Ale nie na wiele by się przydało Cześnikowi, gdyby akcja działa się nawet w Rzeczypospolitej Stanisława Augusta: jest to druga połowa wieku XVIII-go, duch nowych światów, nowych podstaw—już bije w bramy. Może by od Stanisława Augusta i dostał jakąś krescytywę, ale nie zmieniłoby to psychologicznego sensu Cześnika: na groźnym przełomie epok, w przededniu nowej społeczności i tak by był, czem jest: zamierającą przeszłością.

Antytezą jego jest Rejent. I pod tym względem antytezą.

Rejent wszystko zawdzięcza sobie. Od natury wziął tylko zdolność. Reszta — to już on. Swoją pracą, oszczędnością, umiejętnością życia dorobił się niezależności. Umiejętnością życia... Charakter Rejenta, jakim go komedja rysuje, pozwala nam przypuszczać, że w tę umiejętność wchodziło nie jedno, z czem by się nie bez trudu pogodzić można... Czasy, które biją we wrota jego epoki, zamykały na to oczy. Wszystkie podstępy życiowe, wszystkie niedozwolone chwyty zyskały w XIX wieku akcept opinji, o ile się kończyły powodzeniem materjalnem. Życiowe sztuczki Rejenta dziecięcą są igraszką wobec tych „posunięć", jakich się dopuszczają figury Balzaca, a te figury są przecie wiernem zwierciadłem nowej moralności, w nowym, pofeodalnym układzie świata. Więc ta strona niejako jest bezprzedmiotowa w zagadnieniu, które poruszamy. Dla nas tu ważne, że o ile Cześnik w warunkach wieku XIX-go musiałby zczeznąć, Rejent da sobie radę. Cześnika na tle Europy możemy sobie wyobrazić tylko w wieku XVIII-ym i tylko w feodalizmie, choćby już w likwidacji feodalizmu. Rejent, w okresie „Zemsty" będzie tem, czem jest, w trzydzieści lat później może być równie ziemianinem, jak przedsiębiorcą przemysłowym, w połowie XIX wieku może być światowym aferzystą giełdowym, właścicielem kopalń, eksploatatorem wielkich terenów. Rejent w przyszłości nie zginie. Da sobie radę.

Cześnik jest ostatnim odpryskiem czasów, którym kres zadała wielka rewolucja francuska. Jego drzewo genelogiczne duchowo się na nim kończy. Rejenta widzimy w nieskończonej ilości potomstwa duchowego aż do naszych czasów. On jest przyszłością, jak tamten — przeszłością. I w tem przeciwstawieniu mamy trzeci mur graniczny w „Zemście". Mur, ustawiony między logiką jednej epoki, a drugiej.

Czy ten trzeci mur wchodził w świadomość twórczą Fredry?

Najprawdopodobniej: nie. Ale jak dom, pod dobry pion ustawiony, z każdej strony prosto się trzyma, tak samo i dzieło sztuki, dobrze w swojej substancji umocowane, utrzymuje sens nawet i z tej strony, od której doń, ponad zamiar autora, podchodzimy. Jest to ten w dziele sztuki sekret, który by nazwać można prawem nieświadomej nieomylności artystycznej.

Nasuwa się tu mimowoli pytanie, po czyjej stronie stała sympatja autora? Komu z nich dwu, Cześnikowi czy Rejentowi, sprzyjał Fredro?

Należy rozpocząć od tego, że jak w całem komedjopisarstwie Fredry tak i w „Zemście" niema figur t. zw. uprzywilejowanych. Każda z nich odsunięta jest od autora na dystans objektywizmu. I Cześnik i Rejent żyją w oświetleniu raczej satyrycznem. Jeżeli jednak w tem naświetleniu chcemy rozróżniać stopień natężenia, to niewątpliwie da się wyśledzić, że Cześnik mimo wszystko jest Fredrze sympatyczniejszy.

Wady Cześnika są może groźniejsze dla postępu zbiorowości, ale bardziej wybaczalne w zakresie moralności. Cześnik nie posunie się do tego, by zarwać rzemieślnika na jego zarobkach. Już Tarnowski zauważył, że Rejent w porównaniu z Cześnikiem jest stworzeniem zimnokrwistem. Rejenta widzi Fredro w ruchu raczej pełzającym, gdy Cześnik w wadach swoich nawet ma jakiś lot.

Innego ustosunkowania między temi dwiema figurami nie mogło być, skoro komedję pisał Fredro. Jak to już było powiedziane powyżej, Fredro karmił się wadami i śmiesznościami szlacheckości: czuł je, jak nikt inny może, poza Henrykiem Rzewuskim, a jak nikt inny, umiał je uplastycznić, ale nic na to nie pomoże, autor „Zemsty" był sam szlachcicem, nie tylko z rodu, nie tylko z temperamentu, ale i z umysłowości. Szlachcic a cóż dopiero taka kwintesencja szlacheckości, jak Cześnik, nie mógł nie wkradać się w jego serce.

Wady Cześnika tak są ustawione, że one mogą zrodzić naganę naszego rozumu, ale nie uczucia. Jak jest śmieszny i obarczony błędami — chętnie go sobie wyobrażamy, jako naszego krewnego. Od powinowactwa z Rejentem radzibyśmy się wykręcić.

W tem, że Rejent i Cześnik tacy są, takimi się musieli oczom Fredry ujawnić — dużo przyczyny w tem, że twórca „Zemsty" korzeniami duchowemi tkwi jeszcze w wieku XVIII-ym i można powiedzieć, że im bardziej wiekiem własnym podążał naprzód w XIX stulecie — a żył przecie do 1876 r. — tem chętniej cofał się sercem w lata swojego dzieciństwa, w atmosferę moralną wieku XVIII-go.

Czy tylko Fredro staje sympatją po stronie Cześnika? Po stronie typu ludzkiego, którego Raptusiewicz jest przedstawicielem? Przyjrzyjmy się literaturze pofredrowskiej. Aż do naszych dni postać, pokrewna Cześnikowi, o ileż częściej się pojawia od ewolucyjnych przeobrażeń Rejenta. Nawet Wokulski kończy na fanaberjach, które mają w sobie coś z nieśmiertelnej szlachetczyzny. Tak więc proporcja sympatyj dla Cześnika i Rejenta wypływa u Fredry nie tylko z osobistych, ale i jakby z plemiennych skłonności uczucia.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

MOTYW PRZYRODY W POEZJI ANGIELSKIEJ

(Ze szczególnem uwzględnieniem Byrona)

II.

Na Miltonie urywa się rozwój stosunku, w jakim człowiek-twórca stawał do Przyrody. Rozpanoszyła się poezja klasycystyczna z Pope'm na czele, dla którego Przyroda nie żywym była organizmem, lecz w ramy allegorji zamykanem, leżącem poza naszemi zmysłami pojęciem abstrakcyjnem.

Tradycje Miltona wskrzesił James Thomson, piewca słynnych „Pór roku", które dźwięk jego nazwiska po całym cywilizowanym rozniosły świecie, poeta, który, jeżeli idzie o malarskie odtwarzanie Przyrody, nie znalazł poza Miltonem, a przed tak zwaną „Szkołą jezior" z Wordsworthem i Coleridge'm na czele, przed Shelleyem i lordem Byronem nikogo, coby mu dorównał. Był on mistrzem w kreśleniu obrazów wschodu i zachodu, burzy

morskiej, padającego śniegu, kłębiących się mgieł jesiennych, szarych ugorów i łanów zielonych, lasów i chat omszałych, pierzchających obłoków i błękitów niebieskich, czynników malarskich, które przeniesione na poezję, przybierają często kształty smutnych, lub radosnych sielanek, niejednokrotnie przecież kształty te rozsadzają i stają się imponującemi istotnie wizjami w duchu prawie dzisiejszym:

„Zbliżanie się dnia obwieszcza łagodnym wzrokiem zorza świtowa, matka rosy, nasamprzód słabo tylko na pooranym przebłyskuje wschodzie, potem coraz to dalej, coraz to szerzej rozlewa się jasność, a przed jej obliczem bledną obłoki. Pierzcha noc ciemna, na miejsce jej wkracza wspaniały, młodzieńczy dzień i roztwiera oku rozzieleniało dale. Przed naszem obliczem wyłania się rosą zlana turnia, osłonięty obłokami szczyt góry. Przebłyskując śród świtów, błękitny pędzi potok; w niezdarnych podskokach wybiega z pola tchórzliwy zając, zaś okrajem lasu kroczą sarny, trwożnie wczesnemu przyglądając się wędrowcowi. Budzi się muzyka, prawdziwy odgłos szczerej nieudanej rozkoszy, las naokoło radosnym rozbrzmiewa śpiewem...“

W podobnie plastyczny sposób maluje Thomson mgły jesienne: zaś z burzy śniegowej taki tworzy obraz:

„Z nagłym, niespodziewanym poświstem wybiega burza; toczy przed sobą falę powietrza. Wszechmoc powietrza tego pada na spokojne wody i dziko smagnąwszy Ocean, bezbarwne z głębi jego wydobywa bałwany. Coraz to gwałtowniej szaleje orkan: z odcinającej się ostro północy, z posępno żółtawego wschodu nadciąga czarny opar zgęszczonej chmury, kryjąc w sobie morze mgieł, ściętych w śnieg. Ciężko toczy się świat tych płatów śnieżnych, ponuro spoglądają burzliwe niebiosa. A teraz z cichego powietrza biała opada kurniawa, nasamprzód w drobnych, delikatnych płatkach, a potem rozszerzając się coraz to bardziej, zgęszczając się i coraz to bardziej się śpiesząc, naodziewa dzień swą chmurną, bezbrzeżną powłoką. W suknię zimową o najczystszej bieli otula się niwa. Wszędy przebłyskuje światłość, tylko nie nad wężowym brzegiem strumienia, nad którym świeży topnieje śnieg. Las kłoni swą głowę, a zanim o zachodzie blady przeciśnie się promień wieczornego słońca, całe oblicze ziemi pod ciężką leży powłoką, martwe lśniste pustkowie, grzebiące, dokąd okiem sięgniesz, dzieło rąk ludzkich“.

Wszystko to są malowidła, dowodzące wrażliwej niesłychanie obserwacji, malowidła prawda, epickie: nie brak im przecież i pierwiastka l i r y c z n e g o. Nie jest pierwiastek ten, jak u Burnsa lub Byrona, związany integralnie z całością, istnieje przecież w formie refleksji, jaką obrazy te nasuwają poecie.

Malowidło słońca kończy Thomson lirycznem pytaniem: „Ty słońce, ty duszo świata, ty odzwierciedlenie bóstwa, czyż się pieśń moja wzniesie ku tobie?“. A pejzaż zimowy staje się dla niego źródłem medytacyj na temat znikomości rzeczy ludzkich:

„Patrz — powiada — ty próżny człowieku, oto jest obraz twojego bytu. W niewielu latach przekwitnie kwiat twej wiosny, zniknie moc twego lata, a wkońcu, gdy opadną liście twej jesieni, zjawi się zima i scenę zamknie na wieki... Gdzież wy jesteście wówczas, sny o wielkości, gdzieście się podziały, puste nadzieje serca? Gdzieś ty, żądzo sławy, gdzie ty, nieukojona trosko, gdzie wy, zabiegi codzienne? Gdzież ta wesoła, pomiędzy złem, a dobrem tracąca się biesiada życia?“

Na ogół był jednak Thomson subtelnym obserwatorem zewnętrznych zjawisk Przyrody, nie umiał jednak należycie znaleźć subjektywnego związku pomiędzy jej duszą a duszą własną, natura służyła mu jeszcze, jako mniej lub więcej surowy, choć wspaniały materjał do celów zewnętrznych, choć również wspaniałych, mianowicie do dydaktycznego wykazywania na jej tworach wielkości Boga.

Słyszałem kiedyś w Rzymie, w kościele San Carlo, kazanie, w którem wymowny ksiądz udowadniał twórczą potęgę bóstwa na dziełach Botticellego, Michała Anioła, Lionarda, Ghirlandaia, Perugina i Rafaela. Takie kaznodziejskie momenty znajdują się i w poezji Thomsona. Jeden z uczonych niemieckich, S t r a u s s, znalazł na tego rodzaju obserwację Przyrody bardzo dobre określenie. Powiada, że Przyroda, w ten sposób widziana i w ten sposób zużytkowana w poezji, utożsamia się z f i z y k o - t e o l o g i c z n y m d o w o d e m istnienia Boga. Thomsonowi, temu najwybitniejszemu przed Robertem Burnsem Wordsworthem, Coleridge'm, Shelleyem, Byronem poecie przyrody nie wypłynął nigdy z piersi hymn panteiczny, dowodzący głębokiego stapiania swego bytu z bytem wszechświata.

Tego rodzaju wspólne cechy z Thomsonem ma i William W o r d s w o r t h, jeden z naczelnych wodzów „Szkoły jezior“, znany cel złośliwych pocisków ze strony Byrona. Przy całej subtelności a nieraz i głębi uczucia, z jakiemi się zbliżał do Przyrody, ograniczał się niejednokrotnie i on nie do malowania jakichś wewnętrznych walk swej psychy w związku ze zjawiskami Przyrody, ale zadowalał się poetyckiem utrwaleniem jej obrazów, choć obrazy te traktował, jako żyjące w samych sobie. Wyrządzilibyśmy jednak mu krzywdę, gdybyśmy chcieli Przyrodę w poezji jego uważać jedynie, jako *sztafaż zewnętrzny*. Ma on w dorobku swoim rzeczy, dowodzące, że Przyroda nie była mu środkiem, jeno treścią samą. Mimo to był on stosunkowo za mało subjektywny, to znaczy za mało liryczny, pod tym względem wyprzedził go jeden z najszczerszych pieśniarzy świata, Robert B u r n s. Atoli przed nim i Wordsworthem, a poza Miltonem i Thomsonem, było kilku innych jeszcze poetów, organicznie związanych z motywem, który poprzez Shelleya a przedewszystkiem Byrona, miał stać się jednym z najbardziej zasadniczych pierwiastków twórczości romantycznej, nowoczesnej.

Jeżeli idzie o zachowanie porządku chronologicznego, to pieśniarzami takimi, jak to można w każdym wyczytać podręczniku, byli Tomasz G r e y i William C o l l i n s.

Pierwszy z nich, profesor historji i języków w Cambridge, pisał w duchu antycznym, naśladował poetów rzymskich, jednakże pod wpływem budzących się haseł powrotu do źródeł rodzimych, sięgał po tematy do starożytnych źródeł walijskich, do sag skandynawskich, a jako pisarz, który do twórczości swojej wprowadził Przyrodę, zasłynął poza „Odą do wiosny“, elegją do dziś dnia deklamowaną w Anglji, „Elegją na cmentarzu wiejskim“ (*„Elegy written in a Country Churchyard“*), znamienną dlatego, że dzięki niej przedostał się do liryki angielskiej pierwiastek s e n t y m e n t a l i z m u. Ten pierwiastek sentymentalizmu ma i William Collins, który, jak typowy jakiś romantyk, lubował się w mchem porosłych zwaliskach, Collins, który, nie mogąc się jeszcze wyswobodzić z form klasycystycznych, mimo to w swej „Odzie do wieczoru“ zamknął już pierwiastki nowożytne.

Nie wiele nas interesuje Tomasz W a r t o n, wierny naśladowca miltonowskich „L'Allegro“ oraz „Il Penseroso“, natomiast osobistością, prowadzącą już wprost do Wordswortha i Byrona jest inny poeta z czasu, w którym narodziła się wielka liryka angielska, mianowicie William C o w p e r.

Jeżeli idzie o stosunek jego do Przyrody, to wyszedł on od Thomsona i tak samo, jak on, nie umiał jeszcze w sposób rozstrzygający łączyć swego życia wewnętrznego z życiem Przyrody. I dla niego była ona jeszcze głównie środkiem i to dla tych samych celów, co i dla tamtego, to jest dla udowodnienia na tworach jej wielkości Boga. O słabowitem zdrowiu, żarliwy wy-

znawca kalwinizmu, obracał się nieustannie w ściśle zwartem kole pojęć i uczuć religijnych. Z tego koła spoglądając na świat, widział w Przyrodzie, którą jednak pięknie malować umiał, nic więcej, jak tylko dzieło Stwórcy i to dzieło, w którego objawach dostrzegać się musi kierującą wprost rękę Boga. Atoli ciągłe jego obcowanie z Przyrodą, łamało czasami formułę patrzenia na nią ze stanowiska wyłącznie religijnego, doprowadziło go, jeżeli nie, jak u Shelleya i Byrona, do wybuchów panteistycznych, to przynajmniej do jakichś nieokreślonych dalekich, panteistycznych alluzyj.

Mieli więc najznamienitsi przedstawiciele motywu Przyrody w poezji angielskiej—Wordsworth przedewszystkiem i Byron—swoich poprzedników, do których przedewszystkiem (jeżeli idzie o charakter nowoczesny twórczości), należy wspomniany już Burns. Jeśli też przyjmiemy, a na to zgodzi się chyba każdy, że siła i urok tej nowoczesnej liryki polega w wysokim stopniu na bardzo ścisłem ze stanowiska artystycznego, na bardzo umiejętnem zespoleniu własnego życia wewnętrznego, z życiem Przyrody, to właśnie Burnsa zaliczymy do tych twórców nowożytnych, u których moment ten na naczelne wysuwa się miejsce.

Umiejętność ta była mu wrodzona; zespalanie objawów życia wewnętrznego z obrazami, napotykanemi w otaczającej go Przyrodzie, spełniało się u niego nie w drodze jekiejś wyuczonej poetyckiej teorji, lecz wynikało, można powiedzieć, nieświadomie z wrodzonej poetyckiej intuicji. To też krajobraz jego nie ma, jak to widzimy u epików, charakteru dekoracyjnego, opisowego; jest on integralną cząstką objawów życia wewnętrznego, spełniających się w duszy twórcy.

Zarówno dla Wordswortha, jak i dla Burnsa wystarczało najmniejsze zjawisko Przyrody: najpospolitszy ptak, najskromniejszy kwiatek, aby ich obraz zamykać w swych wierszach i to jest ich wspólność, różnica zaś pomiędzy mistrzem, a uczniem, — gdyż wpływ Burns'a na Wordswortha nasuwa się na pierwszy rzut oka — ujawnia się przedewszystkiem w tem, iż dla Burnsa życie Przyrody bywało niejednokrotnie obrazem życia ludzkiego, gdy tymczasem pogląd Wordswortha na Przyrodę zamykał się w tem, iż życie w Przyrodzie jest nie podobne do życia duszy ludzkiej, ale z tem życiem zupełnie jednakowe.

Ten subjektywizm, ten liryzm miał się przecież w całej imponującej potędze objawić dopiero w Byronie i najcudowniejsze tworzyć akordy z chwilą, gdy poeta stawał w obliczu Przyrody.

JAN KASPROWICZ

FARYS

FRAGMENT

FARYS

Z tego miejsca, gdzie stoisz, z tej ziemi pod nami,
Słońce wypiło morze przed stoma wiekami.
Tu pustka śpi, w snach widzi koszmar samej siebie,
Ziemię gryzie, piach żuje i w piasku się grzebie...
W tem bezbrzeżu martwoty, pośród jałowizny,
Wśród hyjen i szakali macoszej ojczyzny, —
Patrz! rozrósł się kamienny las, knieja filarów,
Nie mamidło, zwidzisko obłąkanych czarów,
Nie miasto upiór, które w powietrzu koczuje,
Nie miraż, co nadzieją zabłąkańców truje,
Lecz wielkie, pięć w obwodzie mil mające blizko,
Ciche, gruzem marmurów płaczące zwalisko.
Biała Róża pustyni, tak ogołocona
Z liści, jak z ciała w grobie szkielet Salomona,
Bo to on w przed wiekami kwitnącej ruinie,
Gwałcąc pustkę, na słońca cześć wznosił świątynie,
On nakazał, by w słońcu płonąc i czcząc słońce,
Rząd kolumn porósł ziemi stóp cztery tysiące
Jednej tylko jedynej budowli portykiem.
Otoczył ją pałaców mrowiem i bezlikiem
Sadów, co w niebo biły wonią rozszalałą,
Aż się słońce z rozkoszy po niebie tarzało!

LEILA

A dziś...

FARYS

I dzisiaj słońce nad tem miejscem gości
I powtarza za królem: Marność nad marności.

LEILA

A dzisiaj...

FARYS

Dzisiaj Thadmor, miasto Salomona,
Spowija lotna piasków pustynnych zasłona.
W pałacach gad, w ulicach hyjena się czai,
Wodząc żarłocznem ślepiem po włóczęgów zgraji,
Co się tu wkrada czasem w pogoni za łupem.
Przetrząsa szczątek szczątków miasta, co jest trupem,
Z pustką w dziele zniszczenia puszcza się w zawody,
Ślad narodu, co pustkę przetworzył w ogrody, —
W miał, w pył, w gruz pokruszonych marmurów obraca,
Trudem złodziejskim niszczy, co stworzyła praca,
W tysiącletnie spoidła budowli się wciska
I te zwaliska w nowe obala zwaliska!

LEILA

A dzisiaj...

FARYS

Dziś na odwet pustki patrząc słońce,
Rozważa wiekuiste początki i końce.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

GŁOSY

PRASA PROWINCJONALNA

BARDZO doniosłą kwestję poruszył w „Myśli Narodowej“ (nr. 1 z roku bieżącego) p. Troczewski z Kutna. Prasa stołeczna, tak, jak twierdzi, istotnie poświęca zadziwiająco mało miejsca i uwagi sprawom prowincji. Wymiana zdań w kwestjach ogólnonarodowych odbywa się wobec tego tylko pomiędzy stolicami. Zagadnienia zaś lokalne, które mogłyby mieć znaczenie szersze, skoro prasa stołeczna o nich nie informuje, wymykają się z zainteresowań społeczeństwa.

Mając słuszność zupełną w tych twierdzeniach negatywnych, autor notatki podaje i przepis leczniczy, ale niestety zgoła niewystarczający. „Centralizmu“ prasy naszej nie da się wykorzenić sposobem tak prostym, jak przez znalezienie czasu w redakcjach pism stołecznych na regularne przeglądanie pism prowincjonalnych. Prasę warszawską pragnę tu wziąć w obronę. Stwierdzić należy z przykrością, że gdy dziennikarz stołeczny nawet bardzo poważnie chce podać czytelnikowi możliwie obfity materjał z życia naszej prowincji, staje najczęściej bezradny wobec braku materjału prasowego.

Z obowiązku redaktora „Samorządu“, organu, poświęconego właśnie poważnym zainteresowaniom lokalnym, przez lat kilka prowadziłem kronikę życia prowincji, samorządowego, społecznego i kulturalnego. Stale więc przeglądałem i prasę prowincjonalną. Wypada mi stwierdzić, że zawiera ona w tym względzie wiadomości bardzo mało, a te, co tam się znajdą, są nagół przygodne i wcale nie pouczają czytelnika zamiejscowego, a nawet miejscowego, o zagadnieniach lokalnych. Dla niektórych pism oczywiście należy poczynić wyjątki, ale właśnie (wbrew przypuszczeniu autora wzmianki) dla powiatowych, nie dla wydawanych w ośrodkach większych, pomijając naturalnie stolice dzielnicowe. Po wiadomości o życiu prowincji udawać się przeważnie musiałem albo do korespondencyj albo do źródeł takich, jak protokuły z posiedzeń sejmików lub rad miejskich czy gminnych, sprawozdania instytucyj lokalnych, jak stowarzyszenia oświatowe, pożarne, rolncze i t. p. Materjał ten, przeważnie niedrukowany, jest oczywiście trudno dostępny i wymaga skrzętnego, niezawsze owocnego poszukiwania.

Natomiast prasa prowincjonalna, jak przekonałem się, żywi się przeważnie, nieraz całkowicie (poza kroniką policyjną)—prasą stołeczną. Nie znaczy to, żeby podawała same przedruki, których zresztą zwykle niebrak, ale rzadko kiedy docenia należycie, że w odróżnieniu od pism stołecznych, obliczonych na rynek ogólno-krajowy, cechować ją winien lokalizm. Naśladuje prasę stołeczną, i zapełnia swe szpalty wiadomościami z całego świata i polityką ogólną, a najmniej wiadomościami z powiatu i polityką miejscową. Tylko na tem tle staje się zrozumiały fakt horrendalny, że powstała w Warszawie fabryka pism prowincjonalnych, drukująca trzy strony numeru w stolicy i tylko czwartą doskładująca na miejscu... głównie z ogłoszeń firm lokalnych.

Nie będę przesądzał, czy niema jeszcze głębszych powodów „centralizmu“ prasy naszej. Walka, wytoczona przeciw niemu przez p. Troczewskiego, ma wszakże uzasadnienie i bardzo poważne. Atoli apel jego należy skierować przedewszystkiem pod adresem prasy prowincjonalnej. Gdy się ona centralizmu wyzbędzie i należytą uwagą otoczy sprawy lokalne, to prasa stołeczna również przestanie je pomijać, a zagadnienia, któremi prowincja żyje, stanowić zaczną pozycję poważniejszą w naszej wymianie kulturalnej oraz w bilansie narodowym.

WŁ. WAKAR

GŁOS O STOSUNKACH POLSKO-ŻYDOWSKICH

JEDNYM ze zdolniejszych autorów bajek, pisemek i monologów kabaretowych jest niewątpliwie p. Benedykt Hertz, który uprawia też chętnie publicystykę na łamach pism „demokratycznych“. Sam się uważa za Polaka i jest przekonany, że interesy Polski rozumie lepiej od conajmniej wielu, jeśli nie wszystkich rdzennych Polaków. Świeżo był on w Paryżu i Berlinie, miał sposobność zetknąć się tam z finansjerą żydowską i stamtąd wysłał do „Kurjera Wileńskiego“ dwa artykuły o stosunkach polsko-żydowskich.

W liście pierwszym, na paryskich wrażeniach opartym, uznaje on przedewszystkiem konieczność niejako antysemityzmu społeczeństwa polskiego, dodaje jednak, że przyglądając się stosunkom krajowym z pewnego oddalenia widzi błędy, jakie państwo w stosunku do Żydów popełnia. A więc w pierwszym rzędzie „zmuszając Żydów do świętowania niedzieli, państwo podwaja bezrobotne dni połowy swej ludności miejskiej, co odbijać się musi ujemnie na jego bilansie“.

„Największą jednak szkodę — czytamy dalej—wyrządza sobie Polska tem, że istotnie zdolności swoich Żydów wyzyskiwać nie chce... U nas nie wyzyskuje się przecież sił, wiedzy i dobrej woli prof. Askenazego, zastępując go pierwszą lepszą miernotą dla tego tylko, że ta miernota ma nos prostszy“.

P. Hertz wspomina też o tem, że państwo polskie „nie popiera w równym stopniu fabrykantów Żydów, jak Polaków“, a nawet, dość nieoczekiwanie dla nas, zapewnia, że „rządy Rzeczypospolitej, mocno uzależnione od stronnictw nacjonalistycznych polskich“ politykę antysemicką prowadzą i krzywdzą przez to państwo.

P. Hertz kończy list swój zapewnieniem, że sama obecność zagranicą tylu zdolnych Żydów z Polski, przez państwo polskie do żadnej pracy niepowołanych, daje Polsce ujemne świadectwo i że polski antysemityzm państwowy „jest szkodnictwem, które nas w oczach świata mocno kompromituje“.

Nie mamy najmniejszego zamiaru polemizować z autorem. Chodziło nam tylko o stwierdzenie, że p. Hertz nie należy bynajmniej do istniejącej również odmiany ludzkiej — antysemitów żydowskiego pochodzenia. Jak widać z podwyższego, niema przecież bodaj jednej skargi żydowskiej, którejby p. Hertz racji nie przyznał.

Tem znamienniejszy jest list drugi (w Nr. 294 „Kur. Wil.“). P. Hertz przyjechał do Berlina i tu się zetknął z Żydami, którzy z polskiemi pasportami w ręku (a niektórzy z polskiemi i litewskiemi naraz) robią świetne interesy, jako niemieccy bankierzy i przemysłowcy. I oto w towarzystwie takiem toczą się wszelakiego rodzaju rozmowy.

Oczywiście przedewszystkiem o Steigerze, którego się porównywa z Dreyfusem. P. Hertz zaznacza, że zachodzi ta różnica, iż we Francji Dreyfusa skazano, w Polsce zaś Steigera uniewinniono. Ta niewinna uwaga ogromnie się nie podobała i p. Hertza od tej chwili zaczęto traktować jak obcego, jak intruza.

Rozmowa dotyka stosunków polsko-litewskich i ktoś utrzymuje, że Polska będzie musiała oddać Litwie Wilno, jako miasto litewskie. P. Hertz zabiera głos i wskazuje, że za rządów carskich i za okupacji niemieckiej większość ludności Wilna przyznawała się do polskości, Dodaje, że kraj, otaczający Wilno, ma charakter nie tyle litewski, co polsko-białoruski.

Oświadczenie to wywołuje protesty: co za Białoruś? Jest tylko Rosja i koniec. „Stopniowo — powiada autor — dyskusja przybiera ton znanych artykułów i broszur czarnosecinnych, ton podręczników „iłłowajskich“, ton względem Polski nie tylko niesprawiedliwy, ale wprost

dyszący nienawiścią. Padają słowa o *„saisonstaacie“*, o powrocie Rosji nad Wisłę. P. Hertz nie mógł już wytrzymać i wystąpił z wielką oracją, której treść charakteryzują następujące jego słowa: „Z wszelkich łbów musi być w końcu raz na zawsze wybita myśl o możliwości nowego zawojowania przez kogokolwiek Polski, myśl, jak się przekonałem, wciąż jeszcze pokutująca nie tylko śród emigracji rosyjskiej, reakcji niemieckiej, ale i części finansjery żydowskiej“.

P. Benedykt Hertz kończy oświadczeniem, że przeżycia swe berlińskie opisuje w piśmie wileńskiem dlatego, że na gruncie wileńskim właśnie rodzą się nastroje, których echo słyszał w Berlinie. Sens zaś moralny dwuch jego artykułów streszcza się w słowach: „We własnym swym interesie Rzeczpospolita musi zrewidować swój stosunek do Żydów, niemniej wszakże i Żydzi winni bardzo gruntownie zrewidować swój stosunek do państwowości polskiej“.

Pouczające bywają głosy w stosunkach polsko-żydowskich tej kategorji Żydów, do której należy p. Benedykt Hertz. Komentarze zaś są tu chyba całkiem zbyteczne.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

(Duch nad wodami — Dzisiejsze Węgry — Wersal i Trianon — Wykonanie reformy rolnej — Głos prof. Kemmerera — Rodzimy projekt min. Moraczewskiego)

„DUCH Locarno“ w dalszym ciągu unosi się nad potokami wodnistych frazesów, zalewających szpalty oficjalnej prasy europejskiej, szumnemi kaskadami spływających z oficjalnych mównic. Czasami tylko z pod zalewu wynurzy się nieoczekiwanie twardy grunt faktu, punkt oparcia dla obserwacji i oceny otaczających nas zjawisk. Jakaż rzeczywistość kryje się pod temi szeroko, a tak płytko rozlanemi wodami?...

Niespodziane odkrycie wielkiej organicji fałszerzy banknotów zagranicznych na Węgrzech jest dla oceny rzeczywistego położenia Europy dzisiejszej faktem niesłychanie znamiennym. Nie chodzi tu o skandal towarzyski, wywołany aresztowaniem ks. Windischgraetza ani o zdawkowe biadanie nad powojennym upadkiem moralności. Rzeczywiste znaczenie sprawy tkwi gdzieindziej. Aczkolwiek bowiem dotychczasowe sprawozdania ze śledztwa pełne są sprzeczności, tajemnic, tendencyjnych wyolbrzymień i niedomówień, jedno wszakże rysuje się, jako rzecz niewątpliwa: do spisku fałszerskiego należeli wysocy dygnitarze, ludzie o pięknej przeszłości, którzy — jak głosi oficjalny komunikat węgierski—dali się wciągnąć „przez wysunięcie względów patrjotycznych“. A ten fakt właśnie rzuca na dzisiejsze stosunki na Węgrzech światło szczególnie jaskrawe.

Każdy, kto choć trochę znał obecne położenie Węgier, orjentował się, że są one pokryte siecią tajnych organizacyj odwetowych, że podobnie, jak Niemcy, są ogniskiem buntu przeciw istniejącemu układowi politycznemu Europy, że opinja węgierska nie pogodziła się bynajmniej z postanowieniami traktatu w Trianon. Ale i ci, co rozumieli te sprawy, nie mogli przypuszczać, aby duch odwetu tak bezwzględnie zapanował nad umysłami, że pod jego wpływem decydowali się wchodzić w stosunki z fałszerzami: prezydent policji w Budapeszcie, biskup polowy wojsk węgierskich, jenerałowie, politycy, profesorowie. Wiedeński *„Neues Wiener Tageblatt“* określa sprawę fałszerstw, jako wynik „chorobliwych wprost nastrojów“, wywołanych przez traktaty pokojowe...

Papier na fałszowane banknoty sprowadzany był z Berlina. Ma to niemal charakter symbolu. Zresztę — jak doniosły dzienniki — sekretarz ks. Windischgraetza, Raba, wszedł w stosunki z odwetowcami bawarskimi i wtajemniczył ich w plany fałszerstwa. Współdziałanie zupełnie zrozumiałe. Niedaleko jest Trianon od Wersalu.

Z wewnętrznych spraw Polski ważnem zdarzeniem jest ogłoszenie spisu majątków, przeznaczonych w myśl ustawy o parcelacji i osadnictwie do przymusowego wykupu. Nie wiadomo, czy w roku bieżącym zamierzenia ministerjum reform rolnych w całości będą mogły być urzeczywistnione, w każdym razie ogłoszony plan nie daje żadnych powodów do niepokoju, aby wykonanie jego sprowadziło jakieś szkody pod względem narodowym czy gospodarczym.

Znawca spraw skarbowych i gospodarczych, prof. Kemmerer, przedstawił dziennikarzom wynik swych studjów nad obecnem położeniem Polski. Rzeczoznawca amerykański nie odkrył może... Ameryki, wypowiedział jednak szereg cennych rad i trafnych uwag, za które szczerze powinniśmy mu być wdzięczni. Prof. Kemmerer stwierdził, że polityka skarbowa Polski jest „wybitnie rozumna“ *(eminently wise)*, słusznie wskazując, iż kłopoty, jakie przeżywamy, nie są zjawiskiem odosobnionem, a stąd i sposoby naprawy muszą być takie, jak wszędzie: praca i gotowość wszystkich warstw do poniesienia ofiar ze swych wymagań i przywilejów.

Oryginalny, czysto miejscowy środek leczenia obecnych niedomagań zaproponował natomiast minister robót publicznych (ministerjum, które najmniej ma do roboty) pos. Jędrzej Moraczewski. Któżby nie zgadł, że środkiem tym jest powołanie na stanowisko szefa sztabu jeneralnego p. Józefa Piłsudskiego?

IGN.

NAUKA I LITERATURA

„LITERATURA POLSKA WIEKU XIX“ PROF. M. KRIDLA

UKAZAŁA się druga część „Literatury Polskiej“ prof. Manfreda Kridla. Wydawnictwo, jak widać, postępuje raźno (część pierwsza pojawiła się latem). Jest to objaw ze wszech miar pocieszający. I to nietylko z tego względu, że prof. Kridl nie utknął na pierwszej części, jak się to zdarzyło poprzednikom jego, prof. Adamczewskiemu i Komarnickiemu, ale i z tego jeszcze, dużo ważniejszego, iż książka jego, wyprowadzona z doświadczenia lat ostatnich i na niem oparta, nie teoretycznie już, ale praktycznie, jako podręcznik, kładzie kres dotychczasowym metodom nauczania literatury w szkołach średnich.

Wywód ten zdziwi potrosze samego autora, który, ugodowo raczej usposobiony wobec dawnych programów, zastrzega się w przedmowie, iż stara się jedynie pogodzić t. zw. heurezę z t. zw. wykładem, że nie odbiega od wskazań ministerjalnych i t. d. Tem nie mniej fakt pozostaje faktem, prof. Kridl w ten czy inny sposób zrywa z metodą w użyciu i... „nie waha się mówić wielu rzeczy wprost od siebie“.

To powiedzenie „nie waham się mówić wprost od siebie“—charakteryzuje chyba dostatecznie zarówno stanowisko autora, jak metodę, nie mogącą wytrzymać próby życiowego zastosowania.

Bo i co też to była za metoda.

Polegała właśnie na tem, żeby, broń Boże, nauczyciel niczego dziecku od siebie nie powiedział, lecz żeby uczeń, majac przed sobą poetycki tekst, nad którym głowiły się całe pokolenia badaczy, sam zadecydował o jego charakterze i jego budowie. o jego wartości literackiej i historycznej. Co to miało na celu? Podobno, „rozwój zdolności objektywnego na świat poglądu“ i „wyrabiania samodzielności młodzieży“, mówię „podobno“, gdyż trudno jest przypuścić, aby ktokolwiekbądź, a tembardziej dziecko, mogło uczyć się samodzielności na literaturze, a tembardziej

romantycznej, działającej przez suggestję, przez hypnozę, przez czar, mogący wpoić kult dla ogólnego ideału, ale nie nauczyć mądrości radzenia sobie w życiu. I nie może też analiza lektury, mającej dać obraz rozwoju twórczości literackiej, rozwinąć w uczniach „objektywnego na świat poglądu", gdyż analizę tę prowadzi pedagog, zadając pytania albo tak, iż doprowadzić one muszą do jego „na świat poglądu", albo do domorosłego, przypadkowego poglądu ucznia. Tak w jednym, jak w drugim wypadku uczeń zostaje pozbawiony najważniejszej rzeczy, bo wzoru krytycznego odnoszenia się do poruszanych zagadnień i staje się bałwochwalcą insynuowanych przez profesora zachwytów i uniesień. I nie krytycyzm i nie objektywizm stał się tej metody skutkiem, ale fanatyzm rozestetyzowanej młodzieży; zarozumialstwo i fałszywa dufność w siebie, fałszywa, bo bezpodstawa. Drugim, nie mniejszym w skutkach paradoksem, było zastosowanie analizy tekstu do utworów, które właśnie z przeciwstawienia się analizie i zdrowemu rozsądkowi powstały i dla których oceny i przyjęcia trzeba było stworzyć nowy rodzaj krytyki t. zw. syntetycznej, opartej na ogólnem wrażeniu.

Jakże tedy analizowano i analizuje się nadal w szkole?

Ano tak mniej więcej, jak na towarzyskich seansach spirytystycznych wywołuje się duchy wielkich ludzi, których głos wrażeniem, jakie sprawia, zagłusza sceptyczny zawsze rozum.

Zasłania się to, do czego głupi rozsądek ludzki mógłby się przyczepić, a odsłania to, co magicznym działa czarem na uczucie i wyobraźnię. Eliminuje się w tym celu zarówno światło, mogące trysnąć z perspektywy historycznej, (gdyż jeszcze nie ustalono jej w stosunku do tych dzieł), jako też światło, mogące wypłynąć z zestawienia dzieł zagranicznych autorów ze swoimi.

Jednem słowem analizuje się nie dla rozwinięcia krytycyzmu, lecz dla wzmożenia wiary w urojenia takie, jak ucieczka od życia „głupiego i zepsutego", jak pogarda dla „gospodarności i rządności" dla „panowania na morzu", „dla wygodnych karczem, pięknych teatrów i szerokich dróg", dla całego tego odpychającego „kramu", jakim dla romantycznego psalmisty jest życie nowoczesnego narodu.

Jest-że to wogóle analizą? Zwolennik jej powie: słowa, przyczepianie się do słów i nazwie to rozbiorem.

Śmieszne rzeczy. Wszakże faktem jest, że rezultaty metody, z którą szczęśliwie zrywa p. Kridl, dały, jak dotąd, wyniki wprost przeciwne założeniu ich twórców, ani krytycyzmu, ani samodzielności w młodzieży nie rozwinięto. I prof. Kridl wrócił do wykładu tak, jak Picasso wrócił do klasycyzmu, a bolszewicy do pobudzania inicjatywy prywatnej.

I jeżeli dałoby się powiedzieć coś na korzyść heurezy i na niej opartych programów ministerjalnych, to bezwzględnie fakt, iż wykład, wprowadzony po ich stosowaniu, wypadł nieskończenie korzystniej, niż wykłady historji literatury z przed tej metody. Świetny jest wstęp w książce prof. Kridla, obznajmiający ucznia w sposób naprawdę doskonały, z głównemi prądami literatury zachodnio-europejskiej. W nim to, sponiewierany przez barbarzyński romantyzm, helleńsko-rzymskiego rodu klasycyzm otrzymuje właściwe genetyczno-historyczne oświetlenie, jako ten, który stworzył absolutny ideał piękna i „zawiera wiele teory i poglądów nieprzestarzałych po dziś dzień".

Po tym wstępie, tak trafnie zaczynającym książkę od słów, które jako pewnik mają wryć się w pamięć ucznia: „Cała kultura duchowa Europy nowożytnej wyrosła z pnia cywilizacji helleńsko-rzymskiej" idzie rozdział pierwszy, pouczający o stosunkach politycznych na ziemiach polskich i o stanie oświaty i ruchu umysłowego. Rozdział drugi, poświęcony elegji i poezji legjonowej, trzeci Woroniczowi, czwarty Niemcewiczowi, piąty obozowi klasyków, szósty wiadomościom o innych pisarzach, siódmy początkom romantyzmu, ósmy Brodzińskiemu, dziewiąty walce klasyków z romantykami, wreszcie dziesiąty poglądem ogólnym zamyka tom pierwszy.

Zgrzytem, psującym efekt tej tak gruntownie przemyślanej pracy są te ustępstwa na rzecz heurezy, jakie dostrzegam w rozbiorach dołączonych do wypisów do przepisanej programem lektury. Robią one wrażenie ryżowej szczotki, stosowanej do jedwabi i aksamitów, (szczególnie, gdy chodzi o poezję), jakiegoś bezlitosnego, przyrodniczego pastwienia się nad wyrazami uczuć bólu i rozpaczy, jakiemi wioną utwory tych czasów. I żeby choć dla jakiegoś celu moralnego czy stylistycznego, dla wtajemniczenia ucznia w naukę czy rację takiego reagowania na rzeczywistość, czy też w arkana umiejętności wywoływania wrażeń, ale nie, ot tak, dla jakiejś łamigłówkowej zabawki.

Można stanowczo i śmiało rozbiory te skreślić, pozostawiając dołączone do nich objaśnienia. Tak samo, jak pierwszy, ułożony jest tom drugi, zawierający we wstępie rzecz o głównych prądach i najwybitniejszych przedstawicielach romantyzmu zachodnio-europejskiego, a w następnych dziesięciu częściach wykład przeplatany rozbiorami o początkach twórczości Mickiewicza, o Malczewskim, o Goszczyńskim, o Bielickim w Rosji, o Konradzie Wallenrodzie, o Farysie i o krytyce literackiej, a uwagi moje, dotyczące tomu pierwszego, dotyczą także drugiego.

Rozbiory w nich zamieszczone, powtarzam raz jeszcze, są jedynym defektem tych doskonałych podręczników, jako że brak tym analizom zarówno celu, jak ściśle określonego punktu wyjścia. Nie wiadomo, po co są i prócz obrzydzenia najpiękniejszych nawet utworów, niczego innego osiągnąć nie mogą. Cała pociecha w tem, że nauczyciel może ich nie stosować. I ta łatwość, z jaką dają się wykreślić, sprawia, iż prof. Kridl nie intencją, ale zrealizowaniem tych możliwości, w które wątpili wyznawcy heurezy, kładzie kres ich metodom.

Pozostaje życzyć jedynie, aby książki jego jaknajrychlej rozpowszechniły się w szkolnictwie polskiem i wyprowadziły z tego zamętu, w jaki wprowadził je stosowany tu, jak i w innych dziedzinach życia polskiego, niedorzeczny w swej powszechności, utopijny eksperymentalizm.

JANUSZ HERLAINE

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Bardzo ceniony historyk, profesor uniwersytetu poznańskiego, K. Tymieniecki, ogłosił w książce wykład swój p. t. „Cechy moralne narodu, jako wynik historji". (Poznań 1926. Fiszer i Majewski). Ograniczył się odpowiedzią na pytanie, czy i w jaki sposób historja narodu polskiego wpłynęła na wytworzenie się cech moralnych, które nam są właściwe i które łączą nas z innymi narodami, lub od nich wyróżniają. Prof. Tymieniecki wyliczył cztery cechy, (dwie dodatnie, dwie ujemne) właściwe Polakom:

1. Zamiłowanie w wolności,
2. Zdolność samorzutnego organizowania się,
3. Brak karności społecznej,
4. Brak wytrwałości.

Wyjaśnia ich pochodzenie przyczynami historycznemi, kwestjonuje, jakoby miały być przyrodzone. Pierwszą charakter polski zawdzięcza, jak na to wskazał Mickiewicz, źródłom chrześcjańskim w wiekach średnich, kiedy Kościół emancypował się od państwa i szerzył zasady wolności. Drugą właściwość autor widzi we wpływach feodalizmu, bez których niezrozumiałe byłyby polskie dzieje wewnętrzne, pełne usiłowań w kierunku odbierania państwu praw i prerogatyw na rzecz instancyj pośrednich i wolności stanowych. W miarę, jak słabł czynnik państwowy, wzrastały czynniki społeczne. Trzeba dodać, że może właśnie ta okoliczność ocaliła nas podczas niewoli, gdy państwa nie było.

Brak karności pochodzi stąd, że Polska nie przeszła szkoły państwa absolutystycznego. Co się zaś tyczy braku wytrwałości (*l'esprit de suite*) i braku konsekwencji, autor widzi jego przyczynę w charakterze agrarnym rozwoju Polski. Charakter wytrwały wytwarzają miasta. Kulturze wielkich skupień przeciwstawia kulturę wielkich rozłogów.

Wnioski prof. Tymienieckiego są optymistyczne. W dziejach widzi postęp, uważa, że jesteśmy na drodze do osiągnięcia doskonalszego typu obywatela, że uczymy się łączyć wolność z karnością, a zdolność inicjatywy z wytrwałością.

Bardzo jesteśmy wdzięczni autorowi za skierowanie uwagi na ten temat i za wnioski. Szkic prof. Tymienieckiego powinien dać pochop historykom i psychologom do obszerniejszego opracowania zagadnień charakteru polskiego. Może wreszcie raz ustanie samoudręka, że ze swoim charakterem do niczego nie dojdziemy, — i owo usprawiedliwianie próżniactwa osobistego rzekomą klątwą niemocy przyrodzonej!

*

Ukazało się już w handlu księgarskim dzieło pośmiertne Lucjana Zarzeckiego p. t. „Wychowanie narodowe, Studja i szkice". Do książki dodano portret autora, jego życiorys i dokładną bibljografję. Redagowali książkę Z. Wasilewski i W. Wąsik. Prof. W. Wąsik napisał życiorys, bibjografję ułożył Witold Hofman, jako zamknięcie na końcu dzieła red. Wasilewski dał uwagi p. t. „Myśl wychowawcza L. Zarzeckiego ze stanowiska publicystycznego". Całość obejmuje stron 435 dużej ósemki. Książka, wydana staraniem Tow. im. Jana Zamoyskiego, a oddana na skład do księgarni Perzyńskiego, Niklewicza i Sp. (N-świat 21), kosztuje zł. 12.

Treść rozpada się na 9 grup lub rozpraw większych: 1. Uwagi ogólne (11 szkiców), 2. Z zagadnień szkolnictwa (10 szkiców), 3. O nauczycielu (7), 4. Urabianie typu normalnego (6), 5. Kobieta a wychowanie (4), 6. O zagadnieniach wychowawczych w Polsce współczesnej, 7. Teorja osobowości a wychowanie, 8. O głównych postulatach wychowania narodowego, 9. Rola wychowania w kształtowaniu narodu.

Ocenę tego dzieła damy wkrótce. Dziś tylko je notujemy, jako ważną pozycję w naszej literaturze o wychowaniu.

*

Cenną, choć nader zwięzłą pracę wydał ostatnio prof. Uniw. Poznańskiego Dr. Mikołaj Rudnicki p. t. „Pomorze i Pomorzanie". Zawiera ona szereg treściwie podanych informacyj, dotyczących Pomorza i jego historji, odrębności gwary pomorskiej i składu etnograficznego ludności. Na zakończenie dodana jest deklaracja programowa korporacji „Pomeranja", której nakładem broszura została wydana.

W myśl zapowiedzi, broszura ta stanowi pierwszy tom bibljoteczki, poświęconej Pomorzu. Jest to więc jakby zaczątek studjów regjonalistycznych, wyraz szczerego przywiązania do „bliższej", ciaśniejszej ojczyzny, a przywiązanie to trwałą jest podstawą miłości Ojczyzny szerszej, całej Polski. To też próba podjęta przez korporację „Pomarania", zasługuje na zanotowanie i pochwałę, jako czyn pożyteczny i piękny przykład do naśladowania.

*

Nowy numer „Przeglądu Wszechpolskiego" (grudzień 1925) zawiera bardzo cenny artykuł prof. Władysława Konopczyńskiego p. t. „Historja dla wszystkich", omawiający znakomite trzytomowe „Dzieje Polski" prof. Wacława Sobieskiego oraz dwie książki o dziejach Polski, pisane dla cudzoziemców: H. Grappina *(„Histoire de la Pologne")* i prof. Dybowskiego *(„Outlines of Polish History")*. Ciekawie też zapowiada sie rozpoczęta w tym numerze dłuższa praca prof. Bronisława Bouffałła „O wzmocnieniu władzy Prezydenta Rzeczypospolitej".

*

Prof. Wilhelm Bruchnalski drukuje w lwowskiem „Słowie Polskiem" studjum pt. „Legendy poetyckie o Chrobrym w górach a saga o cesarzu niemieckim Fryderyku (Der bergentrückte Kaiser)". Autor zestawia z tą sagą „Króla Zamczyska" S. Goszczyńskiego i legendę „Król Chrobry" Szujskiego (1868).

*

Wydana ostatnio praca Zofji Szmydtowej o Norwidzie *) jest udatną próbą wykazania ścisłego związku pomiędzy poezją Norwida a tradycją literacką, zawartą w twórczości długiego szeregu poetów, których wpływom albo się Norwida przeciwstawia (Zaleski), albo się poddaje, umiejętnie dopełniając ich ideologję. Szczególniej omawia tu p. Szmydtowa wpływ Malczewskiego, Dantego, oraz Pisma Św. O wiele pobieżniej mówi o Horacym, Hezjodzie, Szekspirze, Byronie, Cervantesie; wreszcie porusza też pokrewieństwa Norwida z naczelnymi poetami polskimi. We wniosku, wbrew utartym komunałom, dowodzi autorka, iż „poezja Norwida nie jest w literaturze polskiej zjawiskiem obcem, czy egzotycznem".

Cenny to przyczynek do wiedzy o Norwidzie.

---

*) Zofja Szmydtowa — Norwid wobec tradycji literackiej — Warszawa 1925 — odbitka ze sprawozdania gimn. im. C. P. Zyberkówny.

U SŁOWIAN

Ukazał się ze znacznem opóźnieniem trzeci zeszyt z r. 1925 sofijskiego kwartalnika „Głos Słowiański" (*Sławjanski Głas, XIX, 3*). Na treść 48-stronicowego zeszytu składają się następujace artykuły: Do młodych Słowian (S. Bobczew, przemówienie wygłoszone z okazji pobytu czeskich footballistów w Sofji)—Massaryk i Słowiańszczyzna (M. Bobczew, c. d.) — Lubor Niederle (N. Sawow) — Angielskie wpływy w liter. słowiańskiej (J. Pogonowski, Lwów) — W kwestji stosunków serbsko-bułg. — Pamięci trzech uczonych słowiańskich: Vaclav Vondrak, Kaz. Morawski (oba nekrologi przez prof. S. Mładenowa) N. A. Kotlarewskij (przez M. Bobczewa) — Nekrolog Jerzego M, Madżarowa, b. posła bułg. w Warszawie, prezydenta m, Sofji; z kroniki działalności T-wa Słowiańskiego w Sofji dowiadujemy się, że urządziło ono uroczystość ku czci Sienkiewicza oraz gościnnie podejmowało w Sofji uczestników niedawnej wycieczki krakowskiego Chóru Akademickiego.

*

Wydana z okazji dwudziastopięciolecia działalności jubileuszowa księga Towarzystwa Słowiańskiego w Sofji, p. t. *„Jubileen sbornik ua Sławjanskoto Drużestwo w Bołgarija (1899 — 1924)"* przynosi 31 nader zajmujących prac i artykułów z dziedziny słowianoznawstwa. Jeden z nich wyszedł z pod pióra Polaka, lwowskiego slawisty D-ra J. Pogonowskiego i nosi tytuł: „Organizacja slawistyki". Polski dotyczy artykuł O. Barbara p. t. „Jak przedstawiają sobie Polacy Bułgarję i Bułgarów". Z innych ważniejszych artykułów należy wymienić: T-wo Słowiańskie przed 25 laty i obecnie (prof. S. Bobczew) — W kwestji słowiańskiej współpracy naukowej (Andrée Mazon) — Kwestja jedności słowiańskiej (Dr. A. Hein) — Dziennikarstwo a solidarność słowiańska (A, St. Mágr) — Dług słowiańszczyzny wobec Macedonji (metrop. Stefan) — Kryzys idei słowiańskiej (A. A. Baszmakow).

*

„Kalendarz Słowiański", doroczne wydawnictwo (r. XVI) T-wa Słowiańskiego w Sofji, za r. 1926 wyszedł już i poza działem kalendarzowym zawiera nast. artykuły: Z okazji 25-lecia Towarzystwa Słowiańskiego (przez S. S. Bobczewa) — Chorwaci (szkic histor. — przez prof. M. G. Poprużenkę) — Jan Hus (przez I. Lappo)—Lubor Niederle (60-lecie znakomitego uczonego — przez M. Arnaudowa...) Dwie ciężkie straty Polski: Stefan Żeromski i Wł. St. Reymont (M. Bobczewa); W ostatnim artykule pisze się wprawdzie, że „śmierć R. i Ż. jest bardzo ciężką stratą nie tylko dla Polski, ale i dla całego świata słowiańskiego", za mało jednak podkreśla się znaczenie obu pisarzy dla literatury ogólnosłowiańskiej.

*

Le Monde Slave (świat słowiański), miesięcznik paryski, wychodzący pod redakcją prof. I. Eisenmanna, zakończył drugi rok swego istnienia. Zeszyt 12 (grudniowy) jest poświęcony rosyjskiej rewolucji grudniowej (dekabrystów). Są tam artykuły: H. Moysset'a: Powstanie Dekabrystów — P. Milukowa: Rola Dekabryzmu w ewolucji inteligencji rosyjskiej.—J. Legras'a: Dokoła Dekabrystów —Idee polityczne Dekabrystów a wpływy francuskie.—Al. Remizowa: Listy rodziny Pestlów; pozatem kronika i dokumenty.

AD REM...

TEORJA WZGLĘDNOŚCI W TEATRZE

W TEATRZE im. Bogusławskiego na przedstawieniu „Pastorałki", ułożonej przez Leona Schillera z archaicznych tematów jasełkowych, większość narowodościowa bywalców tego teatru urządziła barbarzyńską, wrzaskliwą demonstrację przeciwko wprowadzeniu na scenę postaci rabina. Opis faktu demonstracji w prasie stołecznej stanowić mógłby najdoskonalszą ilustrację do teorji względności. Oto jak jedno i to samo zdarzenie opisują „naoczni świadkowie", bezwiedni Einsteiniści: Przedewszystkiem „Nasz Przegląd" z dn 10 b. m. użala się wykrętnie:

„Wczoraj podczas przedstawienia „Pastorałki" w teatrze Bogusławskiego, część publiczności na II i III piętrze, dotknięta ośmieszaniem żydów, demonstracyjnie opuściła teatr w końcu trzeciego aktu.

Gdy publiczność ta znalazła się u drzwi prowadzących na ulicę, została napadnięta przez kilku woźnych i dotkliwie pobita.

Woźni ci usiłowali zatrzymać wychodzących w przedsionku teatru, aby się „rozprawić" z malkontentami. Pobici

nie mogli znaleźć na miejscu policjanta, wobec czego nie został spisany protokuł o całem zajściu.

Dyrekcja teatru zajmie się niezawodnie pouczeniem swych woźnych".

„Ekspres Por." rzuca inne światło na tę ciemną awanturę:

„...na widowni teatru rozległy się okrzyki, gwizdki i demonstracyjne tupanie ze strony żydowskiej części publiczności.

Zwłaszcza galerja zachowywała się burzliwie: padły okrzyki „hańba", „wstyd", „ohyda", „żaden żyd nie przyjdzie do tego teatru" i td.

...Publiczność żydowska zaczęła tłumnie opuszczać widownię, hałasując. Kilku rzuciło się na biletera p. Trojanowskiego i dotkliwie go pobiło.

Przybyła policja i aresztowała 7 osób najbardziej krzykliwych demonstrantów, w czem 4 mężczyzn i 3 kobiety...

...przed kurtynę wystąpił współdyrektor teatru i reżyser, oraz autor widowiska p. Schiller i tłomaczył intencje wprowadzenia tradycyjnej figury rabina, intencje czysto artystyczne i pozbawione jakiejkolwiek ubocznej myśli.

Z grona zgromadzonej publiczności rozległy się liczne okrzyki, które ujął red. Dębicki w odpowiedzi p. Schillerowi, że publiczność polska nie potrzebuje tych wyjaśnień i rozumie dobrze intencje reżyserji".

Obydwa wyżej przytoczone głosy, zarówno żydowski jak polski, chociaż rozbieżne zasadniczo, ustalają jeden fakt bezwzględny, mianowicie fakt wrzaskliwej burdy, połączonej z bójką, aresztowaniami i wzywaniem policji. Atoli nie ma nic bezwzględnego pod słońcem, bo oto sprawozdawca „Kurjera Porannego" w owych rozdzierających uszy wydarzeniach zauważył tylko oznaki sympatycznej „żywości". Pisze on:

„Teatr im. Bogusławskiego wystąpił wczoraj z tradycyjną „Pastorałką" L. S. Schillera, ślicznie splecioną wiązanką kolend, pieśni i figlów jasełkowych. Znamy te „Pastorałki" z Reduty, gdzie Schiller wystawił je w tej formie po raz pierwszy i miło nam było stwierdzić, iż, przeniesione na scenę im. Bogusławskiego, znalazły one b. żywy oddźwięk wśród licznie zebranej publiczności. Główną część ról dźwigał p. Krasnowiecki, dalej p. Kuncewiczówna Romanówna, Solarski, Kurnakowicz i in. Rodzynkiem w tej strucli był Herod p. Zelwerowicz".

Miniaturkę sprawozdawczą znakomitego pisarza (a jest ona właśnie „rodzynkiem w strucli" recenzyjnej o innej sztuce), przytaczamy w całości, jako idealny przykład względności wrażeniowej.

Czyż można sobie wyobrazić lepszy żer dowodowy dla teoretyków względności? Powinni oni mieć w teatrze im. Bogusławskiego stałą lożę, jako posterunek obserwacyjno-eksperymentalny.

Warto się jednak zastanowić nad charakterystyczną awanturą semicką w dyletanckiem świetle zdrowego sensu i trzeźwej logiki. Według tych staroświeckich metod rozważa sprawę p. M. Grzegorczyk w „Warszawiance", dowodząc, iż cały skandal wyglądał na rzecz zorganizowaną; i podejrzewa on przy tem istnienie planowego zamachu żydowskiego na polskość kultury teatralnej w Polsce. P. Grzegorczyk zarzucając demonstrantom semickim „dzikie chamstwo", stawia im za wzór do naśladowania obojętne zachowanie się publiczności polskiej, gdy w jej oczach na tej samej scenie *„niedawno w sposób o wiele bardziej drastyczny sparadjowano postać księdza katolickiego"*.

Znamienne pouczenie... Czy jednak oba fakty, mianowicie rosnącej z roku na rok agresywności żydowskiej i flegmatycznej obojętności polskiej, — nie stoją w wyraźnym związku? Czy wobec Polaków, dla których odwieczna zasada, przypomniana i głoszona przez Wyspiańskiego „świętości nie szargać!" — jest obecnie tylko artystycznym aforyzmem, czy wobec takich Polaków nie muszą poprostu mnożyć się objawy semickiego zuchwalstwa, za któremi w tropy idzie wzgarda?

Wnioski logiczne z przykrej hecy teatralnej przekraczają swą doniosłością jej znaczenie. Koniec końców nagi fakt świadczy tylko o tem, że mamy już w Warszawie małą polen-hecę, zarodek przyszłych, groźniejszych.

Dalecy jesteśmy od obalania hypotezy sprawozdawcy „Warszawianki" o istnieniu zamachu żydowskiego na polskość kultury teatralnej w Polsce... Przeciwnie, *mamy smutną pewność*, iż zamach taki knuje się skutecznie przeciwko *całości naszej kultury*, przyczem teatr odgrywa rolę trzeciorzędną. Co do awantury na „Pastorałce" stawiamy jednak kontr-hypotezę, a mianowicie: — awantura żydowska mogła być tylko żywiołowym odruchem fanatycznej części żydostwa, zaskoczonej znagła krotochwilnym żartem z rytuału bóżnicznego, gdy spodziewała się zwykłej na scenie im. Bogusławskiego drwiny z gestów sakramentalnych katolickich.

Żywioły orjentalne są wybuchowe, o ile nie kiełzna ich respekt, lub lęk. Tym razem, widać, ani respektu, ani lęku Żydzi nie czuli... Zapewne niesłusznie. Dali więc sobie folgę... i popełnili skandal dla nas, a dla swoich władz może nietakt. Demonstracja planowa na tradycyjnej „Pastorałce", w której obydwu żydków, arendarza i rabina, poczciwość ludu polskiego traktuje z wesołą, współczującą serdecznością? Chyba nie... chyba nie w zimnych, kalkulanckich głowach przywódców wylągł się plan tak kompromitującej hecy, czuć tu raczej zapalne „kepełe" mniej karnych podkomendnych. A zresztą: wszystko być może... Lecz oto znów wracamy do względności.

TADEUSZ ROZWORA

SZTUKI PLASTYCZNE

W „ZACHĘCIE"

Wystawa w „Zachęcie" sprawia wrażenie dziwnej pustki, oczywiście, jeśli chodzi o dzieła sztuki, bo rzeźb i obrazów obejrzeć można sztuk z górą dwieście. Smutno zwłaszcza przedstawia się t. zw. Wystawa prac grupy „Zespół" (z równą racją mogłaby się nazywać: Wystawa prac zespołu „Grupa"). Ten sam brak wszelkiej idei, wszelkiej pomysłowości, który przejawił się w nazwie, jest też cechą dominującą wystawionych przez „Zespół" dzieł. Poza paroma obrazami, lepszemi, niż inne, beznadziejny brak talentu, wizji, świeżości, rutyna, szablon. Do najsłabszych zaliczyć trzeba obrazy Hollera, Iwanowskiego, Nowiny-Przybylskiego, Przesłańskiego.

P. Magdalena Gross wystawiła większą kolekcję rzeźb, zaś p. Marja Koźniewska — obrazów, przeważnie portretów. Aż dziwne pomyśleć, jak absolutną obojętność umiała zachować artystka wobec duchowej strony portretowanych przez siebie osób.

Cykl pejzaży p. Feliksa Rolińskiego świadczy o braku wrażliwości kolorystycznej i dużej skłonności do manjery. P. Stefan Domaradzki nazwał sam zbiór wystawionych obecnie swych dzieł: „Notatki niewykonanych projektów". Zwalnia to poniekąd od obowiązku ich oceny, zwłaszcza, gdy są znamiona, wskazujące, iż p. Domaradzki stworzy może w przyszłości rzeczy lepsze.

Największą salę przeznaczono na t. zw. Wystawę Bieżącą. I tam właśnie, odwracając oczy od dzieł tak słabych, że ich nawet wymieniać się nie chce, przedostając się przez tradycyjne, zawsze te same wrzosowiska Rapackiego, dochodzi się nagle do rzeczy istotnie wartościowych, obrazów, które warto było malować, jakiemi są pejzaże Stanisława Czajkowskiego. Zwłaszcza widoki Kazimierza, szczere, pełne prostoty, są nowym dowodem dalszego rozwoju talentu artysty, jego kultury, daru spostrzegania piękna rzeczy prostych, zwyczajnych.

K. L.

† JAN BIELECKI

Dn. 3 stycznia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. prof. dr. Jan Bielecki, znakomity uczony, profesor zwyczajny i kierownik Zakładu Chemji Organicznej Politechniki Warszawskiej. Zasługi naukowe ś. p. prof. Bieleckiego ocenią niewątpliwie należycie odnośne wydawnictwa fachowe. Z naszej strony pragniemy przyczynić się do uzupełnienia charakterystyki zmarłego, jako człowieka i to człowieka niezwykłego. Z tą myślą zamieszczamy poniżej przemówienie, wygłoszone na pogrzebie dn. 7 b. m. przez dr. Józefa Beka:

ODDAJEMY ostatnią posługę człowiekowi, który miał to szczęście, że czuł się sługą Bożym, wykonawca Jego Świętej woli. Największą troską, jaką miał w życiu było to, aby odgadnąć, do czego go Bóg przeznaczył i czy dobrze życiem swojem wyroki boskie tłumaczył.

Osiągnął — zdaje się — to, że czuł się zupełnie małym, jako twór boski... To uczucie określało jego stosunek do ludzi: bezwzględnie wymagający od siebie, wyrozumiały był dla innych. Mawiał: „Człowiek winien być nieraz dla siebie katem". „Ludzie wszyscy do czegoś są Bogu potrzebni. Najgorszy człowiek ma jakąś rolę do spełnienia". „Każdego trzeba szanować, każdemu trzeba pomagać, aby mógł żyć lepiej". I pomagał: słowem mocnem, pewnem, — czynem miłosiernym z bezgranicznem poświęceniem wszystkich sił swoich. Kiedy mu zwracano uwagi, że nadwyręża siły i zdrowie, po całodziennej pracy naukowej i pedagogicznej, przyjmując jeszcze słabych, szukających pomocy — odpowiedział: „nikomu nie dano ciężaru ponad siły jego".

Gdy uniewinniała się, że tylu mu posyła cierpiących, pewna osoba, odpowiedział: „nic złego, pomnaża mi Pani kasę u Chrystusa".

Żywo i stanowczo odsuwał wszelkie podziękowania za okazaną skuteczną pomoc: „Bogu dziękujcie, nie mnie!"

Kiedy niejeden wyrażał chęć okazania mu wdzięczności w czynie jakimś, — najczęściej, uśmiechając się z dobrocią stawiał żądanie, aby ten wdzięczny człowiek uczynił sobie jakieś postanowienie poprawy: n. p. „niech Pani postanowi sobie przez 3 miesiące nie mówić o nikim nic złego".

W służeniu cierpiącym nie wahał się nigdy. Tą potrzebą serca powodowany wyratował w młodości tonące dziecko, sam będąc chorym i osłabionym, — jako młody student pomagał starszym towarzyszom, zrzeszonym w Związku robotniczym, — wreszcie jako dojrzały człowiek niósł ulgę licznym rzeszom cierpiących. Takim był w Ojczyźnie, takim w krajach obcych.

Oto słowa, jakiemi pożegnali go przyjaciele duchowi jego z Francji*) „pracownicy w Winnicy pańskiej", gdzie— jak wiadomo — przebywał szereg lat, także jako profesor i redaktor fachowego pisma chemicznego:

„Drogi Janie. Oto już siedem lat już świecisz nam przykładem niewyczerpanego zapału, zawsze pełen inicjatywy i tej głębokiej, czynnej dobroci, która jest oznaką chrześcijańskiej sprawiedliwości. Ukazujesz nam się wpośród szarego tłumu, jako wcielenie ukochanej przez Ciebie Polski; jesteś chrześcijańskim jak i ona; jesteś rycerski, jak twoi przodkowie, którzy ocalili Europę przed zalewem mongolskim; jak i oni powracasz bronić duchowej ojczyzny Twojej rasy przeciw nowoczesnym hunnom, grożącym jej tym razem od Zachodu.

Jako ta Polska, tylekroć razy zdławiona, tyle razy zmartwychpowstała, tak i Ty w życiu swojem uginający się pod ciężarem bezmiernych wysiłków, z pomocą Niebios znów powstajesz na nowo; bo jesteś niezmordowanym oraczem pól, leżących odłogiem, a pełnych cierni. Odjeżdżasz najdroższy przyjacielu—ale poprzez wszystkie przestrzenie, rojące się od przeciwników Chrystusa, serca nasze będą zawsze ku Tobie dążyły.

I nic nie znaczą odległości, odrzucające nas od siebie — bo czyż nie jesteśmy wszyscy złączeni pod pastorałem Jedynego Pasterza, na tem samem zboczu tej wieczystej doliny?

Nie mówimy Ci tedy: „do widzenia"—gdyż serca nasze wspólnie, ku tej samej wznoszą się Doskonałości, ale mówimy Ci „do Boga"—bo tylko w Nim jednym jesteśmy wszyscy zjednoczeni, przez Boga jednego działamy, dla niego jednego żyjemy. Przyjmij, Drogi Janie, pozdrowienia nasze w Imię Tego, który od początku świata kierując drogami naszemi, doprowadził nas do tych błogosławionych rozstaji, na których odtąd wspólnie ostać się możemy".

Był uczonym nowoczesnym i równocześnie człowiekiem pełnym żywej, głębokiej wiary, wiary bez najmniejszych wahań. I to trzeba wiedzieć, że ten drugi dar cenił wyżej, niż dar mądrości i rozumu. „Mam więcej, niż rozum — mówił — mam wiarę!"

My zaś, co przyglądaliśmy się jego życiu, co żyliśmy w promieniach jego serca, dodajemy: miał jeszcze serce pełne miłości. I ten oto trzeci dar był łącznikiem między rozumem i wiarą. Z miłością odnosił się do pracy naukowej „muszę doprowadzić do tego, żeby student uważał sobie za zaszczyt, że ukończył politechnikę warszawską".

Ostatniem pragnieniem jego było utworzenie stowarzyszenia „Przyjaciół duchowych". Mieli się w niem złączyć rozsiani po ziemi polskiej pracownicy służby Chrystusa. Złączyć się po to, aby się wspierać i umacniać w gorliwej pracy i służbie Chrystusowej.

Tu była zarazem jego odpowiedź na pytanie, tak często teraz stawiane: co będzie ze społeczeństwem powojennem, jakie nowe dogmaty dać ludziom zwątpiałym, struchlałym wobec ogromu nędzy moralnej, ujawnionej w czasach wielkiej wojny? „Po co szukać czego? Zwróćmy się do Ewangelji. Tam wszystko mamy wskazane".

Drogi Nauczycielu! chcemy pragnąć, czego Ty pragnąłeś, chcemy czynić, coś Ty czynił, a wiemy, że będziesz wówczas z nami...

JÓZEF BEK

*) Drukowano w miesięczniku „Les Amitiés spirituelles" z 25. XI. 1919 roku.

NOWE KSIĄŻKI

Andrzej Wierzbicki. Podstawy gospodarczego jutra. Mowa w Sejmie 7 listopada r. b. Warsz. 1925. Zw. Lud. Nar. (al. Jerozolimska 17. Cena 50 gr.)

Stanisław Pigoń. O Panu Tadeuszu. Szkic syntezy, Kraków 1925. Str. 160.

Encyklopedja prawa obowiązującego w Polsce. Praca zbiorowa pod redakcją prof. dr. Peretiatkiewicza. Cz. II i III. Poznań 1925. Fiszer i Majewski.

Feliks Araszkiewicz. Bolesław Prus i jego ideały. życiowe. Z przedmową dr. Jul. Krzyżanowskiego. Lublin 1925 Str. 204.

W. Stachurski. Krzyk z ludu. Luźne uwagi na czasie. Łuck 1925. Str. 19.

Władysław Jabłonowski. Amica Italia. Rzecz o faszyzmie. Wrażenia i rozważania. Poznań, 1926. Księg. Św. Wojciecha. Str. 176.

Włodzimierz Perzyński. Raz w życiu. Powieść. Warsz. 1926. Gebethner i Wolff.

Antoni Lange. Nowy Tarzan. Opowiadanie wesołe i niewesołe. Warsz. 1926. Gebethner i Wolff.

Jerzy B. Rychliński. Mah-Jong. Cykl nowel. Warsz 1926. Gebethner i Wolff.

Prawda o biurze historycznem Sztabu generalnego. Rozbiór krytyczny zarzutów marsz. Piłsudskiego. Poznań 1926 K, Rzepecki. Str. 26.

Wanda Miłaszewska. Zatrzymany zegar. Powieść Poznań 1926, Księg. św. Wojciecha.

Kazim. Rosinkiewicz. Złoty sen Lamikai. Powieść. Księg. św. Wojciecha.

Emil Zegadłowicz. Godzinki. (Poezje). Poznań 1926. Księg. św. Wojciecha.

Jan Sztaudynger. Dom mój. Z przedmową K. H. Rostworowskiego. Poznań 1926. Księg. św. Wojciecha.

W. Heinrich. Zarys historji filozofji. Tom I. Część 1. Filozofja grecka. (Warsz. 1926) Gebethner i Wolff — Str. 250.

Zofja Żurakowska. Skarby. Powieść dla młodzieży. Warsz. 1925. Wyd. Mortkowicza.

Hanna Mortkowiczówna. Dzień Krysi. Napisała i narysowała... Warsz. 1926. Tow. Wyd.

Janusz Korczak. Kiedy znów będę mały. Warsz. 1926.

Leon Wasilewski. Ukraińska sprawa narodowa w jej rozwoju historycznym. Warsz. 1925. Wyd. J. Mortkowicza. Str. 221.

NA MARGINESIE

Pain-Expeller, czyli uniwersalny środek na wszystkie choroby wewnętrzne, zakaźne, zewnętrzne, złamanie kości, łysinę, czerwony nos, zatrucie nikotyną, tyfus, cholerę, gościec, reumatyzm, katar. W polityce, według pewnej grupy wielbicieli, takim uniwersalnym środkiem jest p. Piłsudski. Zły bilans handlowy, zamykanie fabryk, deficyt budżetowy, wojna celna z Niemcami, łapownictwo w urzędach, bezrobocie, klęska nieurodzaju, wylewy rzek, nadmiar gimnazjów humanistycznych, zastój budowlany, rozwielmożnione złodziejstwo, brak kanalinacji w miastach, nędza powszechna, spekulacja giełdowa: wszystkie powojenne plagi polskie zostaną według nich natychmiast uleczone, jeżeli p. Piłsudski otrzyma komendę nad wojskiem...

*

W r. 1920 odbył się w Londynie tajny kongres żydowski, na którym zapadły uchwały wrogie dla państwa polskiego. Ponieważ inspiratorem ich był obywatel polski i poseł na Sejm Grünbaum, prasa polska ze zgorszeniem napisała o tajnym udziale w tym kongresie owego działacza. Grünbaum, żeby się wobec władzy oczyścić, wytoczył proces przeciwko czterem redaktorom, między innemi przeciw redaktorowi „Gazety Warszawskiej" Z. Wasilewskiemu. Sąd okręgowy w r. 1925 oskarżonych uniewinnił. W Sądzie jednak apelacyjnym (4. b. m.) sprawę przegrali. Skazani zostali na miesiąc aresztu z umorzeniem kary na zasadzie amnestji. Obrót, jaki wzięła w Sądze apelacyjnym sprawa Grünbauma jest analogiczny do obrotu sprawy Lednickiego. I natura obu spraw ta sama. Sąd apelacyjny ma zupełnie inny pogląd na zbrodniczość pewnych czynów obywatela wobec państwa, niż Sąd Okręgowy. Najwyższa instancja, a może nauka, powinny temi poglądami się zająć i jakoś je ujednostajnić.

*

Tak się złożyło, iż właśnie w tym samym czasie, gdy „Myśl Narodowa" drukowała artykuł p. Stanisława Pieńkowskiego p. t. „Przedmurze Chrześcijaństwa", w „Wiadomościach Literackich" zamieszczono utwory (wierszem i prozą) p. Józefa Wittlina, poświęcone św. Franciszkowi w Assyżu. Charakterystyczne zwłaszcza jest krótkie wspomnienie z Assyżu, pisane wierszem. Dowiadujemy się z niego, iż p. Wittlin modli się do św. Franciszka słowami: „O dobrotliwy patronie wszystkich, co biorą po gębie" i zapewnia Go, że „uwielbiany Twój brzuch, co zawsze był próżny". Wiersz rozpoczyna się szczerym, pełnym istotnie głębokiej boleści okrzykiem: „Tyle, tyle pieniędzy zebrać musiałem na podróż do sanktuarjów nędzy!"

Istotnie, trudno nie współczuć tu z nieszczęśliwym p. Wittlinem. „Tyle, tyle pieniędzy" wydał, i tak zupełnie niepotrzebnie, tak nieproduktywnie...

*

Do kogo się zwrócić z prośbą, żeby na ulicach Warszawy przestrzegany był pewien rygor obyczajowy? Od szeregu dni na ruchliwszych ulicach ściga przechodniów krzyk przekupniów, wywołujących tytuły sprośnych piosnek. Nie wiadomo, co robić z uszami, jak od tych pocisków ochronić przyzwoite kobiety, a zwłaszcza młodzież, ze szkół wracającą. Daremnie oglądamy się za policją, która to przerwać była winna odrazu. Nie mamy żadnej potrzeby, tem mniej obowiązku oddychania atmosferą rozpusty. Robimy ze stolicy wstrętne obozowisko wschodnie, przez które trudno się przemknąć bez uczucia niesmaku i zgorszenia. Być może cenzura nie ma formalnych podstaw zakazywania pewnych produkcyj w spelunkach nocnych, ale kto pozwolił wpychać te rzeczy młodzieży? Jakiem prawem rozpusta napastuje całe miasto? Ta sama rzecz, która ujdzie na estradzie, przybiera okropną formę, gdy ją wykrzykuje na ulicy zachrypnięty głos jakiegoś draba. Za takie rzeczy znienawidzić można miasto i zwątpić o jego polskim charakterze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu J. St. Piosnki o Steigerze nie wydrukujemy. Nie jest to temat humorystyczny.

Pani S. M. S. Serdecznie dziękujemy. Zużytkujemy. W wolniejszej chwili odpowiemy listownie.

Panu L. W. w T. To widać, że się Pan znalazł w niewłaściwem towarzystwie.

Pp. Z. S., ks. F. M., K. W. i in. Za życzenia świąteczne i noworoczne Redakcja pięknie dziękuje i wzamian składa swoje.

P. K. Śl. Artykuł p. t. „Zagadnienie główne", niewątpliwie słuszny, jest jednak zbyt ogólnikowy, zwłaszcza jeśli chodzi o pismo, przeznaczone dla ludzi, którzy orjentują się w elementarnych zagadnieniach polityki narodowej.

ERRATA: W zeszycie 13 z. r. w artykule J. Birkenmajera „Kasprowicz jako tłumacz tragików greckich" przeoczono następujące błędy druku: Str. 197 szp. 2 w. 22 „starość" zam. *stałość*, w. 34: „do Bachantki", zam. do „*Bachantek*".

MONOPOL TYTONIOWY W POLSCE

Ustawą z 1 czerwca 1922 r. wprowadzono w Polsce pełny monopol tytoniowy, nawiązując w ten sposób do dawnych tradycyj, zarówno bowiem przed rozbiorami (1776 — 1795) jak w Księstwie Warszawskiem i Królestwie Polskiem (1812—1860) w opodatkowaniu tytoniu trzymano się systemu monopolowego. Brak jednak funduszów na wykupno fabryk prywatnych sprawił, że jeszcze przez dwa lata (do r. 1924) trwał okres przejściowy, w którym przeróbką tytoniu zajmowały się zarówno fabryki państwowe, jak i prywatne, uiszczając opłatę akcyzową od produkcji za pomocą systemu banderoli.

Zawiązkiem Polskiego Monopolu Tytoniowego był istniejący już monopol tytoniowy na ziemiach b. zaboru austrjackiego, który pod zarządem polskim, rozpocząwszy od jednej tylko czynnej fabryki w Krakowie, począł szybko rozwijać się. Odbudowano zatem i uruchomiono w latach 1921—1923 zniszczone fabryki małopolskie w Winnikach, Zabłotowie i Monasterzyskach (odbudowa ostatniej fabryki w Jagielnicy, zakończona została w r. 1925), zarazem zaś rozszerzono teren produkcji także na inne ziemie Polski, zakładając w latach 1920—1923 nowe fabryki w Warszawie, Łodzi i Radomiu oraz zakupując z rąk prywatnych fabryki w Kowlu (w r. 1923) i w Poznaniu (od firmy „Patria", z początkiem r. 1924).

Cała ta odbudowa i rozwój dokonane zostały bez osobnej pomocy Skarbu Państwa, z własnych tylko zysków fabrykacyjnych Monopolu Tytoniowego. Do całkowitej jednak likwidacji fabryk prywatnych, których produkcja jeszcze z początkiem r. 1924 dwukrotnie przewyższała monopolową, można było przystąpić dopiero z wiosną r. 1924, po uzyskaniu potrzebnych na ten cel funduszów z pożyczki włoskiej. Z dniem 31 lipca fabryki prywatne w ogólnej ilości 99 przeszły pod zarząd monopolowy, przyczem 87 zostało całkowicie zlikwidowanych, 12 zaś największych nabyto na własność Monopolu, a mianowicie na terenie b. zaboru rosyjskiego fabryki w Warszawie („Noblesse"), Grodnie (J. L. Szereszewskiego), Białymstoku i Wilnie, na terenie zaś b. zaboru pruskiego w Starogardzie, Bydgoszczy, Grudziądzu, Inowrocławiu, Kościanie, Wodzisławiu i Poznaniu (2 fabryki, od firm: „Sarmatia" oraz Dubec—M. Droste), tak, że obecnie posiada 22 fabryki.

Ilość przerobionego surowca przekroczyła w 1925 r. 18 miljonów kg., w r. 1926 zaś dosięgnie 20 miljonów. Zestawienie prowizoryczne za 10 miesięcy r. 1925 wykazuje produkcję 290 tys. kg. (około 41 miljonów sztuk) cygar, 5,850 tys. kg. (blisko 6 miljardów sztuk) papierosów i 9,570 tys. kg. tytoniu, z czego około 4,500 tys. kg. przypada na tytoń cienko krajany, reszta zaś na machorkę, tabakę, tytoń do żucia i t. p. Wartość sprzedażna wyrobów tytoniowych wynosi obecnie około 400 miljonów zł. rocznie (wedle preliminarza na r. 1926).

Surowiec tytoniowy nabywany jest niemal wyłącznie zagranicą, produkcja bowiem tytoni krajowych, nadających się na najtańsze gatunki wyrobów, jakkolwiek stale się rozwija, nie dosięga jeszcze miljona kg. rocznie, a powinnaby wzróść ośmiokrotnie, aby pokryć zapotrzebowanie tytoni niższych gatunków. To też Dyrekcja Polskiego Monopolu Tytoniowego za pomocą premij, zaliczek, stacyj doświadczalnych i t. p. pracuje nad rozwojem produkcji krajowej, której terenem są narazie tylko Wschodnia Małopolska i Wołyń oraz okolice Grodna, Grudziądza i Rybnika na G. Śląsku. Dla przechowywania surowca zagranicznego Monopol Tytoniowy posiada 5 wielkich magazynów, 5 innych przeznaczonych jest dla fermentacji i przechowywania surowca krajowego.

Do rozdziału gotowych fabrykatów między konsumcję służy 29 magazynów (nie licząc podręcznych składów przy fabrykach). System sprzedaży oparty jest na sieci koncesjonowanych handli hurtowych (blisko 1000) i detalicznych (około 40,000). Koncesje udzielane są w pierwszej linji osobom ustawowo uprzywilejowanym (inwalidzi i t. p.), dopiero zaś w braku takich zgłoszeń innym reflektantom.

Dochody z Monopolu Tytoniowego, stanowiące ponad 11% dochodów państwowych, wykazują stałą tendencję wzrostu, zwłaszcza od chwili wprowadzenia waluty złotowej. W r. 1924 wynosiły one 133,7 miljonów zł. (zamiast preliminowanych 70 miljonów), w r. 1925 zaś 182,6 miljonów zł., tak, że preliminowany dochód 162,5 miljonów zł. przewyższony został przeszło o 12 proc. Preliminarz budżetowy na r. 1926 przewiduje dochód 190 miljonów zł.

Polski Monopol Tytoniowy zatrudnia 576 urzędników, 290 funkcjonarjuszów niższych oraz (przy pełnej produkcji) około 17 tysięcy robotników.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.